

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranica: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austrii: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Bonerowska № 12. CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronie poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadesłane kop. 75. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadesłanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Zgoda № 1.
Telefony: Redakcji 80-75, redaktora 68-75, Administracji 73-22.
FILIE ADMINISTRACYJNE: Sienna № 2 tel. 114-30.
ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81, *Za odnośnieniem do domu dołącza się 10 kop. kwart.*

ŚWIAT

Rok VIII. № 12 z dnia 22 Marca 1913 r.

NATURALNA WODA PRZECZYSZCZAJĄCA

APENTA

działa łagodnie i pewnie.

Nakładem Akc. Tow. S. Orgelbranda Synów w Warszawie wyszła i jest do nabycia we wszystkich księgarniach najnowsza komedia w 3-ach aktach *Stefana Krzywoszewskiego*

Dyabeł i karczmara.

DOM BANKOWY **Felicyan Sokołowski**
Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 5.

Włodzimierz Perzyński

ŁUT 
SZCZĘŚCIA

POWIEŚĆ

Cena rb 1.20.

Żądać we wszystkich księgarniach.

LOZANNA SZWAJCARJA

ÉCOLE LEMANIA

Przygotowuje szybko i gruntownie na

MATURE

dającą prawo wstępu do wszystkich zakładów naukowych Europy zachodniej.

Hotel ROYAL w WARSZAWIE.
Telefon: 5-09, 8-29,
Winda. Elektryczność. Kąpiele.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Redaktor: Stefan Krzywoszewski
Warszawa, ulica Zgoda № 1, róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie przedpłaty na kwartał II-gi r. b., celem uniknięcia zwłoki w wysyłaniu pisma.

Administracja „ŚWIATA”.

Obrona narodowej pracy.

Zagadnienia, które dziś żywo zajmują umysły w kraju naszym, oświetla w poniższym artykule wybitny ekonomista polski, autor cennych dzieł o lichwie i emigracji, krakowianin, dr. Leopold Caro.

Zadaniem dobrego gospodarstwa narodowego jest pokrywanie własnych potrzeb, ile możliwości, wytworami własnej produkcji: w ten sposób wzmagają się siły wytwórcze narodu, co stanowi warunek wszelkiego rozwoju kulturalnego i materialnego. Powiedział to twórca narodowej ekonomii społecznej, Fryderyk List, Niemiec, w znakomitem dziele: „Das nationale System der politischen Oekonomie”, a wszyscy współcześni ekonomiści, wszyscy mężowie stanu, głoszący potrzebę cel protekcyjnych, w jego wstąpili ślady, jego żywią się myślami. Argumenty Lista skłonić miały państwo do ustanowienia cel ochronnych w interesie rozkwitu rodzimej produkcji. Cała polityka cłowa XIX wieku opiera się na kamieniu węgielnym wywodów Fryderyka Lista, hasło ochrony dla pracy narodowej rozbrzmiewa dziś wszędzie, cała Europa walczy pod tym znakiem, a jeżeli w Anglii idee Chamberlain'a dotąd nie zostały zrealizowane, to jednak i tam coraz silniej wywalcza sobie uznanie pogląd, że należy stworzyć wielki związek cłowy, ogarniający obok Wielkiej Brytanii wszystkie kolonie zamorskie, i w ten sposób uczynić anglików niezależnymi od zboża ro-

syjskiego i Stanów Zjednoczonych, zapewnić odbyć w koloniach przede wszystkim angielskiemu przemysłowi, a ograniczyć import towarów obcych, w szczególności niemieckich. Czy to, co jest dozwolone i chwalebne ze strony narodów, tworzących samoistne i potężne państwa, miałoby być potępienia godnym z chwilą, gdy staje się środkiem walki narodów słabych, podbitych, państwa własnego pozbawionych?... I nauka i logika przeczą temu pytaniu. Wzywają dziś do pokoju międzynarodowego, do polityki wolno-handlowej wielkie narody przemysłowe, ale te tylko, które zapewniły sobie bezsprzeczną przewagę na rynkach świata. Przedtem, gdy chodziło o tworzenie przemysłu, o zapewnienie mu odbytu, były gotowe do boju, domagały się cel protekcyjnych.

Niechajże wolno będzie dorabiającym się narodom, narodom o kulturze młodszej, walczyć o byt *temi samymi środkami*, jakie służyły owym narodom szczęśliwym, wyposażonym we własne państwo.

Tam, gdzie naród pozbawiony jest państwa, z natury rzeczy przechodzą owe funkcje państwowe na związki dobrowolne i na jednostki. Nie możemy nakładać cel

na wyroby innych narodów, wśród których żyjemy i z którymi razem podlegamy tym samym prawom i władzom, ale możemy świadomą wolą *omijać* wyroby obce, a kupować swoje, chociażby to nawet było czasami nie ekonomiczne i wpływało na podrożenie cen. Młodszość przemysłowa danego narodu, brak wprawy i umiejętności, brak stosunków handlowych, nieudane próby i t. d. mogą podrażać własny produkt. Lecz tę stratę wynagradza sownie wzrost wytwórczych sił narodu, wzrost inteligencji, moralności, zręczności, wiadomości technicznych i gospodarczych.

Ale powstaje pytanie, czy w obrębie tej samej organizacji życia publicznego godziwym jest środek walki ekonomicznej tego rodzaju: wojna jednych obywateli przeciwko drugim?... W każdym państwie i w każdym narodzie znajdują się stronnictwa, które się wzajemnie zwalczają. Stronnictwa te tworzą się w państwach narodowo jednolitych na tle różnych interesów ekonomicznych lub rozmaitych poglądów prawnopństwowych i politycznych. W państwie różnolitem pod względem narodowości niektóre stronnictwa grupują się na zasadzie wspólnej przynależności do danego narodu, a różnice klasowe, zawodowe i ekonomiczne ustępują na drugi plan. Kwestya teraz, czy interesy gospodarcze są kitem silniejszym, niż narodowe, i czy kupcy, przypuśćmy polscy i żydowscy w Warszawie, lub polscy i Niemcy w Poznańskim, nie powinni iść razem przeciwko konsumentom, a konsumenci, polscy i żydowscy, lub polscy i Niemcy, przeciwko kupcom — czy też interes narodowy jest wyższy i przeważa interesy ekonomiczne? Fabrykant i robotnik przemysłowy mają wspólny interes gospodarczy w tem, aby dany rodzaj przemysłu prosperował, mają tylko różne interesy klasowe, walczą więc wspólnie o żerowisko, a zwalczają się, gdy chodzi o podział łupu, jak to ktoś dowcipnie określił. Jednak nie jest wykluczony fakt, że fabrykant i robotnik przemysłowy, których interesy klasowe są różne, *pójdą razem, o ile znajdzie się interes wyższy*, kojarzący ich, a tym interesem może być interes *narodowy*. To wskazuje obserwacya codzienna, i to są fakty, bez względu na to, na jakimby ktoś osobiście chciał stanąć stanowisku. Faktem w szczególności jest, że są

ludzie, kładący wyżej interes narodowy od klasowego i gospodarczego. Na tej właśnie wyższości opiera się obserwowany u nas proces około tego porządku, zainicjowanego przez Fryderyka Lista, a więc przez patriotę niemieckiego, rozwija się i snuje w Niemczech i poza niemi cały dalszy tok myślenia milionów, które dziś w rozmaitych obozach politycznych powyższą wyznają zasadę. Konstytucya Rzeszy niemieckiej stanowi, że wieczny związek państw poszczególnych zawarty został celem pielęgnowania dobra ludu niemieckiego. Wynika stąd, że o ludach nie niemieckich w konstytucyi nie pomyślano, a przynajmniej nic nie powiedziano na ich dobro, pozostawione więc są owe narody *samopomocy* i mają prawo w granicach legalnych dawać pierwszeństwo swoim przed obcymi, narażając się, oczywiście, na wzajemność.

Jeśli więc dajemy pierwszeństwo jednym wobec drugih, to w gruncie rzeczy niema w tem nic innego, jak to, co ciągle i oddawna czynimy, z przyłączeniem do dawniejszych punktów widzenia jeszcze jednego: narodowego. Jeżeli dotąd omijaliśmy kupca nieuczciwego, wyzyskiwacza, dostarczającego zły towar, zdziercę, to ponadto zawsze omijaliśmy ludzi niesympatycznych, choćby najuczciwszych i najporządniejszych. To leży już w naturze ludzkiej. Jeżeli przeto ktoś jest nam niesympatyczny dlatego tylko, że należy do innej narodowości, której ogół przeciwko nam wrogo czy szkodliwie występuje, jak np. Litwacy w Warszawie, to nie można się dziwić, że i jednostka, choćby osobiście sympatyczna i zasługująca na poparcie, już przez to samo staje się nam niemiłą, iż należy do owego, nienawidzonego nas środowiska. Są w takiej walce ofiary, jednostkom dzieją się i dzieć się muszą w walce tej krzywdy, rzecz i w wojnie nieunikniona. A jednak wojna uznana jest dotąd za dozwolony środek rozprawy wrzecz sprzecznych interesów między narodami. I trzeba pamiętać, o ile ta *ultima ratio*, posługująca się orężem, jest szkodliwszą, o ile bezporównania straszliwszą, aniżeli walka ekonomiczna, która np. w Królestwie skończyć by się mogła z korzyścią obustronną w ten sposób, że Żydzi, którzy w całej Rosyi stanowią 4%, a w Królestwie 14%, częściowo wyemigrują, pozostając w polskim społeczeń-

stwie tylko w tej proporcji, jaką my bez szkody i niebezpieczeństwa dla siebie znieść możemy, część zaś, jak domagają się poważne wśród nich samych stronnictwa, stworzy sobie nową ojczyznę w krajach dla siebie odpowiedniejszych.

Jeżeli wolno bezsprzecznie każdemu dawać pierwszeństwo swojemu przed obcym, to wolno mu też to zapatrywanie publicznie wypowiedzieć, bronić go w prasie i na zgromadzeniach. Jednego tylko nie wolno, to jest krępować woli jednostek, teroryzować ich, przeszkadzać w swobodnem działaniu. Do jednego przemawiają silniej hasła patriotyczne, do drugiego słabiej. Co się da osiągnąć drogą pokojowej perswazyi, spokojnym i rzeczowym argumentem, to pozostaje w granicach dozwolonej agitacyi, to jest dopuszczalne i godziwe. Każda inna metoda, bez względu na cel, choćby najchwalebniejszy, jest nieetyczną, a także i praktycznie szkodliwą.

Podkreśliwszy narodowy moment, jaki tkwi w obronie narodowego przemysłu i handlu, należy jednak wskazać, że ideę samopomocy narodowej, nawet biorąc ze stanowiska kosmopolitycznego, możnaby zwalczać jedynie wówczas, gdyby naukowo dowiedzionem było, że narody, które dziś stoją gospodarczo wyżej, są już wogóle i raz na zawsze dzielniejsze i gdyby ponadto zalety gospodarcze były wyłącznie decydujące dla postępu ludzkości. Historia poucza, że tak nie jest. „Deus sanabiles fecit nationes“, narody ulegają zmianom i przekształceniom, podobnie, jak jednostki. Losy, jakie przechodzą, środowisko, w którym zmuszone są żyć i rozwijać się, skłania je do przystosowania się, udziela często

*) Co do tego ustępu pozwolilibyśmy sobie zauważyć, że stosunki w Królestwie przedstawiają się inaczej w Galicyi. Ażeby procent Żydów obniżyć do normy możliwej (przypuśćmy z 14 do 4%), potrzebaby zmusić do emigracyi około miliona ludności żydowskiej. Dokąd i jaką drogą ta olbrzymia fala ma od nas odpłynąć? ydzi u nas, to przedewszystkiem proletaryat, a proletaryat nie ma środków na dalekie na Zachód podróże. Pomoc emigracyjnych towarzystw żydowskich jest, jak się okazało, bardzo znikomą, a granica od wschodu jest dla Żydów zamknięta. Co się zaś tyczy zdania Szan. autora, że: „poważne stronnictwa żydowskie domagają się stworzenia dla Żydów nowej ojczyzny w odpowiedniejszych dla siebie krajach“, to zaznaczyć musimy, że Żydowscy nacjonaliści, tu w Królestwie, coraz mniej, niestety, o tem myślą i pragną zagospodarować się na naszej ziemi. (pryp. red.).

cennych przymiotów, jakich naród dany w historycznej swej przeszłości nie wykazywał. Powtórę zaś zalety gospodarcze nie są jedyne, nie są najważniejszymi, jakkolwiek mogą się takimi wydawać w epoce, w której więcej, niż w jakiegokolwiek innej, królem jest pieniądz. Nawet zwolennicy wolnego handlu nie posuwają się w swej prawowierności tak daleko, aby domagać się od narodów, gospodarczo mniej rozwiniętych, lub przez przyrodę gorzej wyposażonych, rezygnacji na przyszłość i oddania się w niewolę ekonomiczną narodom sprawniejszym... Wiadomo, że w Galicyi niedawno zniesiono prawo propinacji. Otóż z tej okazji szynkarze narzekali, że będą zrujnowani. Na jednym zgromadzeniu włościańskim pewien chłop nasz tak szynkarzowi, biadającemu na dolę swoją, odpowiedział: „Był raz grabarz, który bardzo narzekał, że robi złe interesy. Czy chłopci z jego wsi mieli z tego powodu położyć się do trumny?...” Rzeczywiście, sprawa tak stoi. Tu trzeba wybierać między ofiarą własną a cudzą, między samobójstwem a koniecznym w danym wypadku zmniejszeniem ekonomicznego powodzenia jednostek obcego narodu. Naród ekonomicznie słabszy stoi przed alternatywą albo poddania się zupełnemu podbojowi oraz ekspropriacji i opuszczeniu przyrodzonych i odwiecznych swych siedzib, albo walki gospodarczej, która polegać musi na *solidarnem dawaniu pierwszeństwa swoim*. Tu już niechodziosentyment, ale o byt. Jeżeli samobójstwo jest śmiertelnym grzechem i tchórzostwem, to jest nim, oczywiście, tembardziej samobójstwo narodu, a byłoby niem opuszczenie rąk i, co za tem idzie, wzmagać się, coraz groźniejsza masowa emigracja, jak było w Irlandyi. Mamy ją od dziesiątków lat w Galicyi i Królestwie. Najlepsze siły, najdzielniejsi ludzie opuszczają ojczyznę, a ludności przybywa tylko dlatego, że w miejsce tych, którzy opuścili nasz kraj, często nazawsze, nie znalazłszy w nim chleba, przyszli, rozsiedli się i wzbogacili *obcy*.

Właśnie ta jest smutna różnica między dobrami ekonomicznymi a dobrami duchowymi, że, udzielając ostatnich, nie traci się ich, owszem, własny zasób wiedzy przez to się pogłębia i utrwala. Dobra ekonomiczne, niebacznie wydane obcym, przepadają dla swoich. Trzeba tedy wystrzegać się marnotrawstwa sił narodowych, które pole-

ga właśnie na nierobieniu różnicy między obcymi a swoimi, trzeba wszędzie i zawsze, jeżeli się narodowo żyć pragnie i utrzymać na własnej ziemi, pierwszeństwo dawać w każdym kierunku swoim przed obcymi!

Przejdźmy do szczegółów. Walkę w obronie kółek rolniczych, tworzenia kooperatyw i hurtowni polskich, oraz kas Reiffeisena, chyba obrońcy lichwiarzy i wyzyskiwaczy określić mogą, jako objaw nienawiści narodowej, czy nawet rasowej lub religijnej, gdy faktycznie jest to jedynie objaw zdrowej ekonomicznej samopomocy społeczeństwa polskiego. Ta zasada powinna być rozwinięta. Trzeba sobie w każdej konkretnej kwestyi zadawać pytanie, o ile można dany towar dziś już nabyć ze źródeł polskich, lub choćby obcych, ale przynajmniej narodowo obojętnych i nie niebezpiecznych dla naszego stanu posiadania narodowego. Wszelkie kupowanie towarów własnego zapotrzebowania u obcych, przyjaciół czy wrogów, jest zależnością ekonomiczną i upokorzeniem, bo przyznaniem się do własnej niższości. Ambicja i interes narodu powinny więc popychać go koniecznie w kierunku wyzwolenia się z tych łańcuchów. Zastąpienie jednej niewoli drugą jest tylko zmianą kajdan, niczem więcej. W pierwszym więc rzędzie powinno być naszym zadaniem stworzenie w kraju przemysłu we wszystkich dziedzinach, obejmujących nasze zapotrzebowanie. To jest jasne. Ale o ile to jest niemożliwe, bądź wogóle, bądź narazie, ze względu na wysokie taryfy kolejowe, brak miejsc odbytu, zdobytych już przez fabryki obce, brak kapitału i przedsiębiorczości w kraju, jakież wówczas ma być kierunek naszego działania? Oddając się jednemu, obojętnym, w zależność ekonomiczną, rugujemy przynajmniej drugich, szkodników i wrogów. Krzywdzą nas, więc gdy zerwiemy z nimi stosunki handlowe, może otworzą im się oczy.

Skuteczności naszej obrony w dziedzinie gospodarczej w najszerszym zakresie stoją na przeszkodzie trzy okoliczności: przeważny udział w kupiectwie naszym żydów obojętnych dla sprawy polskiej, dogodne warunki, udzielane naszym kupcom przez Niemców, wreszcie bezmyślne przywiązanie większości konsumentów do źródła pochodzenia nabywanych towarów i tępy upór, z jakim zawsze żądają tego samego towaru, jakiego dotąd u-

żywali i jaki przyzwyczaili się uważać za najlepszy, wraz z małym uświadomieniem i zrozumieniem obowiązków narodowych w szerokich masach. Wychowanie konsumentów w duchu narodowym jest przeto najbliższem i najważniejszym zadaniem, boć ostatecznie oni decydują w ostatniej instancyi o towarze, jaki kupiec sprowadzi. Obojętność narodowa lub dogodność pośrednika ustąpi wobec katerycznego żądania całego społeczeństwa i pewnego rodzaju nacisku, z jakim zawsze łączy się ruch potężny, porywający wszystkich. Tylko wrażliwość oddziaływania na ogół społeczeństwa zdołamy osiągnąć upragnione wyniki. Naturalnie, zdobycie przez nas handlu, zajęcie wszelkich placówek kupieckich przez Polaków, — do czego doprowadzić może jedynie bezwzględna, interesem narodowym głęboko uzasadniona solidarność wszystkich polskich konsumentów — stałoby się potężną dźwignią w dziele obrony naszej pracy narodowej i w sprawie naszego odrodzenia wogóle.

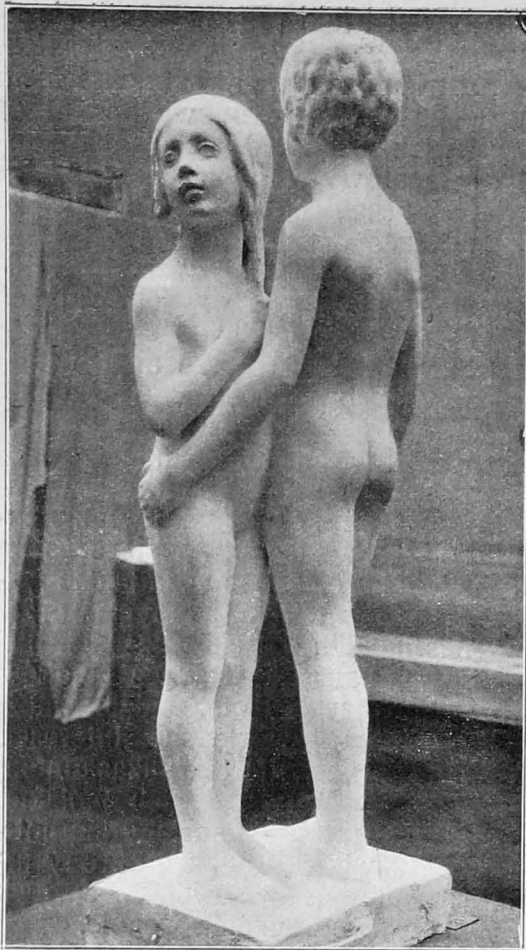
Dr. Leopold Caro.

Rzeźba polska.

Zrzeszenie artystów polskich „Rzeźba” wystąpiło w Krakowie po raz czwarty ze zbiorową wystawą prac swoich członków. Podwójnej uwagi i podwójnej życzliwości wymagają te gremialne występy, od niedawna dopiero u nas zapoczątkowane. Artysta, który swym dążeniem twórczym daje wyraz w bryle rzeźbiarskiej, pracuje w Polsce w wa-



Cz. Makowski. Portret red. Prokescha.



Włodz. Konieczny. Dzieci. (Rzeźb. nagrodzona na konkursie kompozycyjnym w Krakowie).



Stanisław Popławski. Rodzina.

runkach niezwykle i wyjątkowo ciężkich. Najpierw, zbyt młody jest u nas ten dumny i piękny rodzaj sztuki i, co się z tem wiąże, zbyt mała jest jeszcze wśród nas kultura jego odczucia. Następnie, na drodze jego rozwoju stoi trudność, nieznana w tym stopniu żadnej innej gałęzi sztuki: aby żyć i rozwijać się, potrzebuje rzeźba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, w daleko wyższej mierze, niż np. malarstwo. Tego „nerwu rzeczy” brakuje jej w naszym kraju. Wśród osób prywatnych zaledwie tylko rzeźba portretowa i miniaturowa może liczyć na skromny pokup. Kompozycyja czy dzieło monumentalne są zdane już jedynie na łaskę szczęśliwego trafu. Czynniki, które, jak rządy i instytucje publiczne, stwarzają rzeźbiarzom gdzieindziej warunki materyalne, umożliwiające swobodne wypowiedzanie się, albo zbyt mało interesują się u nas sztuką wogóle, albo nie rozporządzają dostatecznymi środkami, albo wreszcie — nie istnieją wcale... Rzeźbiarz polski musi pokonywać trudności tak wielkie, że niepodobna dziwić się, iż jego sztuka nie może podążyć za rozwojem szczęśliwszego pod tym względem, mniej skrupowanego, swobodniej oddychającego malarstwa.

Mimo to — po raz czwarty mamy w Krakowie specjalną wystawę rzeźby, nie tylko pokaźną, lecz piękną i cenną. To znaczy, że i w tej dziedzinie twórczość artystyczna polska jest wewnątrznie dość silną, aby

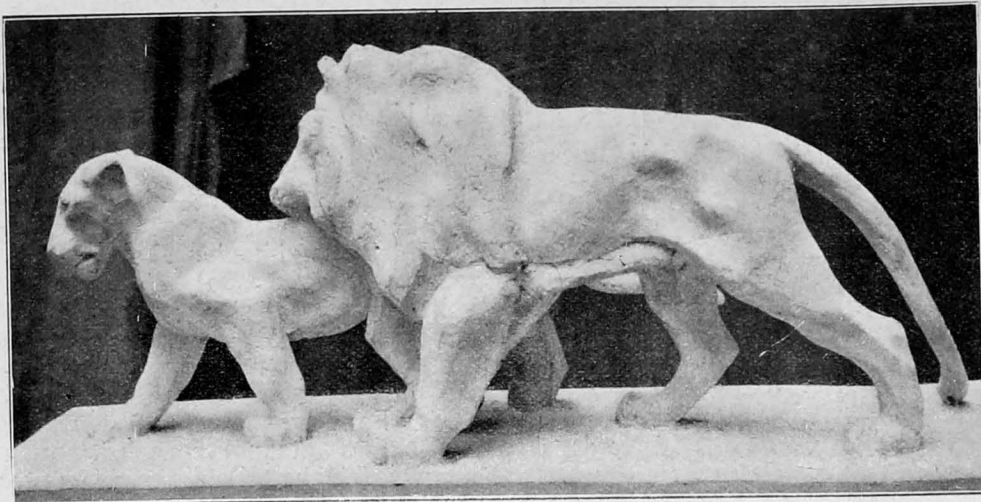
nawet naprzekór ciężkim warunkom iść naprzód.

Wystawa jest zresztą daleka od dania pełnego obrazu tej twórczości. Piętnastu tylko artystów wzięło w niej udział, więc zaledwie drobny ułamek zastępu, dziś już wcale licznego. Są to wyłącznie młodzi, przeważają mniej znani, nie brak wreszcie i debiutów. A „młodzi”, to niekonie-

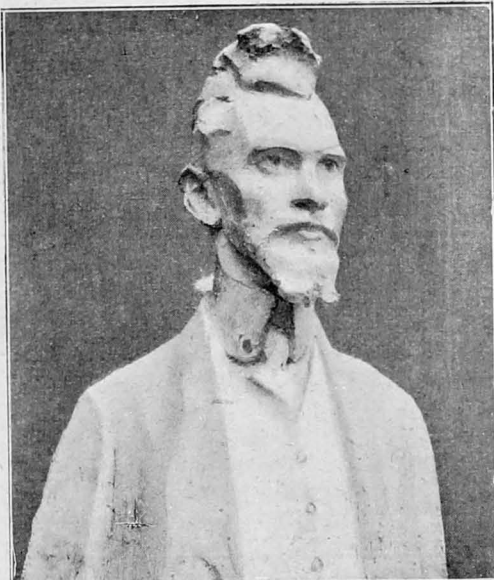
cznie wdzierający się dopiero na wyżyny — to już niekiedy tacy, co na tych wyżynach są od wczoraj i przedwczoraj. Ksawerego Dunikowskiego dwa portrety: p. Jodki-Narkiewiczza i nieznanego mężczyzny; są to dzieła, dające widzowi więcej, niż cała sala, zapelniona rzeczami przeciętnie dobrymi. Artysta posługuje się i tu właściwą sobie metodą „kanciastej” płaszczyzny, która cudownie wydobywa wyraz zdecydowanej energii z modelowanej głowy, jak to sprawdzić możemy na portrecie p. Jodki-Narkiewiczza. W sztuce portretu nie umiem wyobrazić sobie nic bardziej doskonałego nad to, co tworzy Dunikowski. Na tej samej wyżynie stoi Ludwik Puszet, zamiłowany rzeźbiarz zwierząt, których galeria pomnożyła się o dwa małe arcydzieła: przepyszne „lwy” i szkic „lamparta”, szeroko modelowane, podobnie, jak rzeźby Dunikowskiego. Wszystkie one proszą się o swój właściwy materyał: o bronz. Inaczej wyraża się inny młody, świetnie rozwijający się talent, Włodzimierz Konieczny, autor subtelnych główek dziecięcych i kobiecych, wykonanych w bronzie i marmurze, oraz grupy „Dzieci”, pełnej szlachetnego wdzięku, która zdobyła sobie nagrodę na konkursie kompozycyjnym, rozpisany przez nieznanego mecenasa. Wybitnie zaznacza się również Jan Szczepkowski, który, obok doskonałego portretu poety Edwarda Leśczyńskiego, wystawił projekt pomnika Andrzeja Potockiego dla katedry na Wawelu. Mamy tu przed sobą jedną z rzadkich okazji wypo-



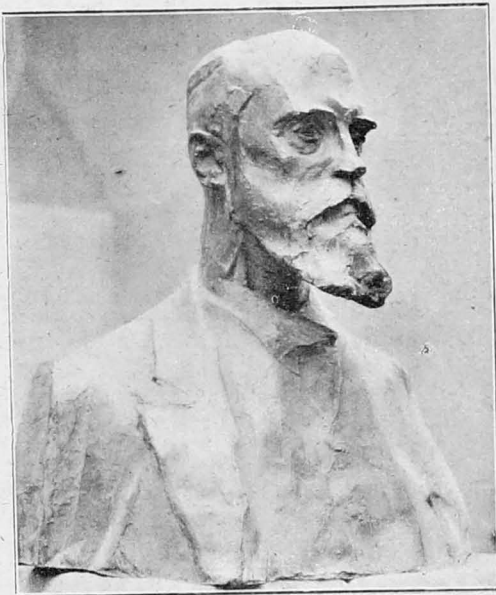
Jan Szczepkowski. Projekt pomnika Andrzeja Potockiego dla katedry na Wawelu.



Ludwik Puszet. Lwy.



Ksaw. Dunikowski. Studium portretowe.



K. Dunikowski. Portret p. Jodko-Narkiewicza.

wiedzenia się rzeźby naszej w formie monumentalnej. Dzieło Szczepkowskiego ujmuje prostotą i powagą: szczęśliwą była myśl nierozpraszania wrażenia w dekoracji i szczegółach kompozycyjnych, lecz skoncentrowania go w postaci zmarłego, która ma znamię godności i siły; skromna architektura podkreśla wybornie to wrażenie. Drugi projekt, Bronisława Pelczarskiego, pomyślany, jako płaskorzeźba, kroi na szerszą kompozycję, w której autor operuje obfitością linii. Jan Raszka wystawił „Rok 1863“, grupę kompozycyjną, dobrze wyrażającą rozmach ataku w bitwie.

Z udatnemi rzeczami biorą udział w wystawie Witold Rzegociński i Hochman; pierwszy z nich, podobnie, jak Konieczny, kombinuje z dobrym efektem bronz i marmur. Nieznany u nas p. Fr. Kucharczyk z Wiednia łączy znów bronz z kością słoniową w swym wymuskanem cyzelańskim cacku „Bizantynianka“. Niełatwo przekonać się do potwornych „impresji“ Gustawa Gwozdeckiego, pomalowanych różnemi farbami, straszących w biały dzień swą halucynacyjną upiornością. Korzystnie prezentują się St. Jackowski, którego

rzeczy świadczą o poważnym talencie, i Stanisław Popławski, autor ujmującej, szczęśliwie skomponowanej grupy „Rodzina“. Zajmujące prace („Ewa“, „Rzut kamieniem“) daje St. Getter, Czesław Makowski uprawia z dobrym skutkiem portrety medalionowe, nienajgorzej debiutuje Irena Chmieleńska ze Lwowa.

„Czwarta wystawa“ naszej rze-



St. Jackowski. Portret.

źby, mimo swego ułamkowego charakteru, zasługuje na poklask. Podkreślić należy jej „wyzwoleńczy“ charakter, jej dążenie, by rzeźba przestała być dekoracyjnym dodatkiem do wystaw malarskich, jakim jest ciągle jeszcze w mniemaniu ogółu, nawiedzającego salon sztuki w niedzielne poranki.

Kraków.

Stosław.

„Młodość panny Mani“.

Nowa powieść w naszym dodatku „Romans i Powieść“.

W numerze dzisiejszym rozpoczyna „Świat“ powieść Alfreda Konara p. t. „Młodość panny Mani“.

Panna Mania, bohaterka roman-su, jest przede wszystkim czystej krwi warszawianką. Konar, od początku swej owocnej kariery literackiej, pozostał stale wiernym źródłu natchnienia, z którego czerpał i czerpie dotąd trafne obserwacje, typy, doskonale odczute, i dowcipnie podpatrzone słabości i słabostki ludzkie. Źródłem tem jest Warszawa. Tu się urodził, wzrósł, kształcił się i żył, weselił się i cierpiał, obserwował i pisał. Zna świat, w jakim się obracał, nawskroś, do samego dna. A że umysł jego posiada równocześnie dwa przymioty, wybornie ze sobą szarmonizowane: refleksyjność, obok bystrej obserwacji—więc to dno i treść rzeczy usposobić go zbyt optymistycznie nie mogły. Konar jednak zanadto jest zrównoważonym umysłowo, aby z tego powodu patrzeć miał na wszystkie sprawy świata zbyt czarno, aby się stać nieprzejednanym, ponurym pesymistą. Wcale nie. On patrzy na życie z pogodnym sceptycyzmem, cechującym zwykle człowieka, który zadobrze rozróżnia przyczynę wszech-rzeczy, aby nie przebaczyć i nie uśmiechnąć się raczej pobłażliwie, zamiast potępiać i szaty rozdzierać. I ten właśnie pogodny, uśmiechnięty sceptycyzm jest przewodnim motywem, dominującym tonem w dziełach Konara. Powiedzmy więcej: jest on niezaprzeczonym wdziękiem jego talentu.

„Młodość panny Mani“ posiada ten sam charakter, te same właściwości, co poprzednie dzieła historyografa „Syreniego grodu“, a choć od tamtych wątkiem i treścią odmienna, jest jednym obrazem więcej w galerii typów środowiska Warszawy.

Nakoniec, przypomnijmy w ogólnych zarysach ten poprzedni dorobek literacki Konara.

Zaczął przed dwudziestu kilku laty od powieści „Hrabina Sylwia“, drukując przytem kilka pierwszych nowel. Przerzucił się później do tea-

tru, gdzie wystawił trzy komedye: „Bankruci” (przeróbka z własnej powieści pod tym samym tytułem), „Gąsienice” i „Figle amora”. Pomimo niezaprzeczonego powodzenia sztuk, poniechał Konar scenę, gdyż, jak sam twierdzi, teatr zanadto go denerwował, działając źle na jego naturę wrażliwą, a nawet, jak zapewnia, demoralizując go i psując charakter. Więc powrócił do powieści. Drukował później, w ówczesnej „Gazecie Polskiej”, cały cykl nowel, pod zbiorowym tytułem „Przed ślubem”. W „Ateneum” wydrukował jedną ze swych kapitalnych powieści — „Siostry Malinowskie”. W „Kuryerze Codziennym” powieść: „Pierwsza miłość”, a później w „Kuryerze Warszawskim” kilka większych studyów, jak: „Jesień”, „Pan-ny”, „Oazy”, „W syrenim grodzie” i t. d. Przypomnieć też należy, że

komedia jego „Karyery” wyróżnioną była zaszczytnie na konkursie dramatycznym im. Wojciecha Bogusławskiego.

Konar znajduje się dziś w pełni sił i twórczości pisarskiej.



Alfred Konar.

Realizm we współczesnej literaturze polskiej.

2

Wszelkie zagłębienie się w życie zewnętrzne zawsze z łatwością popycha do pesymizmu. Grozi tu nie tylko szkodliwa życiu zmora śmierci, której ten, kto się zbyt uwikła w materię, nie potrafi nieskończoności przeciwstawić. Grozi tu jeszcze inne niebezpieczeństwo. Wśród poszukiwań życia, wśród śmiałego patrzenia w nie aż do dna, wśród badania jego zakamarków łatwo dać się zasugerować wszystkiemu, co brudne, małe, nędzne. Realista chce prawdy, chce nam dać rzeczywistość taką, jaką ona jest w istocie. Nie chce jej idealizować, ani upiększać. Lecz to dążenie do całkowitej prawdy nie pozwala omijać brzydoty, występku i brudu z obawy sprzeniewierzenia się rzeczywistości, wypaczenia jej. Co więcej, wszystkie rzeczy odrażające, poziome, drastyczne wydają się bardziej rzeczywistymi od powabnych i wzniosłych. Uprawniając wszystkie fakty życia, wywyższa się mimowoli te, które były dotychczas nie uprawnione, które się wprowadza do literatury z przełamaniem tradycji. I realista stacza się po pochyłości i popada w naturalizm.

Właściwie, najbardziej naturalistyczną spośród realistów polskich jest Zapolska. Lecz jej naturalizm inny ma odcień, niż u twórcy i kodyfikatora wszelkiego naturalizmu, Emila Zoli. Tu najlepiej się uwydatnia zasadnicza różnica między polskim realizmem a wszelkim innym. W opisywaniu najbrutalniejszych i najboleśniejszych zarazem faktów u Zoli jest dziwny twardy obiektywizm. Zachowuje się wobec nich, jak wobec zajmującego doświadczenia w laboratorium. Ma w sobie zaciekawienie i bezstronność badacza, lecz brak w nim tego, co wobec ludz-

kiego upodlenia i bólu płacze. Kiedy w „Pieniądzu” rzuca zarys lepszej przyszłości, czyni to mózgiem doktrynera, lecz nie krzykiem kochającego ludzkość serca.

Zapolska wobec zjawisk najczarniejszych, najbrudniejszych ma zawsze wzruszenie serdeczne i krzyk oburzenia. Porównajmy tylko bezmyślne zwierzątko, jakim jest Nana, z głęboko czującą Franią-Porankiem („To, o czym się nie mówi”). Nie brak potwornych scen w Kaście-Karyatydzie, lecz jakim ciepłem serdecznym jest owiana ta dobra, silna dziewczyna, ile bolesnego cierpienia nad jej losem wyczuwa się poza dyskretną pozą autorki. Nie, zupełną naturalistką nie jest, nie może być Zapolska. Ona nie wierzy w jednostronną cielesność życia i większą prawdziwość objawów brutalnych od pięknych, bo w każdym, z dna wywleczonem zjawisku, ukazuje ocierające krwią serce człowieka. Ona nie jest w stanie skalpelem uczonego dokonywać sekcji, bo się wzdryga przed bólem i krzywdą.

Polska uczuciowość przeszkadza nam stać się naturalistami, naturalistami we właściwym znaczeniu, wierzącymi w tryumfującą „la bête humaine”, zbierającymi fakty i piętrzącymi je z chłodem uczonego. Oto dwóch pisarzy, polski i francuski, wzięli ten sam temat — chłop. Nie należą oni do tego samego okresu literackiego, tem niemniej zajmującym jest zestawienie dwóch dużych syntetycznych dzieł o chłopie. W „Ziemi” Zoli nagromadzone są wszystkie świadectwa zwierzęcości, chciwości i siedmiu grzechów głównych chłop. Reymont w „Chłopach” nie pominął również znanych wad człowieka pierwotnego. Lecz potrafi oddać też wszystkie jego miękkie, li-

ryczne uczucia, wrażliwość na piękno, religijność, współczucie wzajemne. W chacie francuskiej opowiada sobie na zebraniu zimowem bajki o zbójcach i czytają broszurkę agitacyjną. Cała scena zostawia suche, nieprzyjemne wrażenie — nie było nastroju zbiorowego, padło kilka sobokowskich zdań i koniec. Jakże inaczej opisana jest chata polska Reymonta, w której zebrało się na wspólną pogawędkę przy robocie. Jest tam Rocho, tajemnicza postać, budząca ducha po wsiach. Odpowiada on o Burku Panajezusowym, o dawnych królach, o ptakach-żarach i innych cudownościach. Cała chata żyje, przejmując się, dziewczęta chlinią w miejscach, bardziej wzruszających, wszystkich ogarnia nastrój cudu i baśni. Sentyment polski oświecił, ukolorował tę scenę.

Ten sentyment głęboko-polski, ta rozlewność uczuciowa cechuje i nasz realizm, jak całą wogóle naszą twórczość. Chroni on nas od pesymizmu, który grozi zawsze realizmowi i chroni od brutalności. Porównajmy w Rosji takiego realistę, jak Arcybaszew, z naszymi pisarzami. W jakich naukowo-oschłych, odsłoniętych, brutalnych wyrazach mówi o miłości, o stosunku do ludzi, o tem wszystkim, o czym u nas się mówi ze wzruszeniem, z wylewem lirycznym. Arcybaszew jest pisarzem nam współczesnym, który nie miał już nawet do zwalczania wszystkich obłędów naturalizmu i nie był pod naciskiem jego epoki. A jednak jego wtopienie się w życie konkretne, materialne doprowadziło go do szukania pobudek psychologicznych niższych, mających źródło w zmysłach, samozachowawczości, dążeniu do rozkoszy. Celem jego zadaniem w „Saninie” jest pokazanie: oto myślisz, że masz dążenia idealne, ale się ludzisz. Jesteś tylko zwierzęciem, łaknącym rozkoszy, i nie więcej.

Realizm nasz nigdy nie zapomina o pobudkach wyższego rzędu. Nie daje on typów wyłącznie idealnych, bo życie typów takich nam nie daje, lub też daje w tak małej ilości, że nie mogą wejść do szerokiej obserwacji realistycznej. Lecz bądź co bądź, nad większością naszych utworów realistycznych, nawet wtedy, gdy stawiają przed nami galerie szympanów lub szkodliwych mikrobów, unosi się technienie innego światopoglądu, który nie dopuszcza do doktrynerskiej apoteozy animalizmu.

U niektórych realistów, zwłaszcza starszych i już znanych, spotykamy zdecydowany kierunek etyczno-społeczny, który czasem, jak u Prusa, przechodzi wprost w moralizatorstwo. Dowodzi to, że nasz realizm zachował w swym stosunku do rzeczywistości pożądaną umiar i nie wpadł w żadną z krańcowości, które mu grożą. Wevssenhoff w „Hetmanach”, „Unii”, daje wytyczne pracy narodowej. Reymont w „Chłopach” odtwarza budzące się poczucie solidarności społecznej na wsi. Zapol-

ska nie umie sformułować żadnej tezy pozytywnej, lecz wskazywaniem otwartych, gnijących ran społeczeństwa robi już wiele. Rzuca wieść, gdzie trzeba usiłowania reformatorskie skierować. Sieroszewski tu i owdzie pokaże nam wygnańców lub cierpiętników, którzy stawiają idee wyżej nad dobrobyt osobisty.

Za to w młodszym pokoleniu realistów brak zupełnie tej idei etycznej. Mają oni po Zapolskiej zręczność w podpatrywaniu „les petits faits de la vie”, tych małych rzutów konkretnych, które czynią z utworu kawał żywego życia. Lecz brak im sprawdzianów dobrego i złego. Chodzi o oryginalność i barwność zjawiska, nie o jego ocenę.

To stanowisko poza-etyczne spotykamy przedewszystkiem u Wacława Grubińskiego. Ma on w sobie w najwyższym stopniu pociąg do tego, co pozwala indywidualności ludzkiej rozszerzyć się, wyszumieć, odetchnąć całą piersią upojeniem i rozkoszą. Chciwe zmysły i pragnąca jaskrawych oszłomień dusza biorą życie samo w sobie, nie ujmując go w żadne prawa, nakazy, w żadne określone łożysko. Brak mu nie tylko jakichś orientacji społecznych, lecz nawet stosunek jednostki do świata nie zostaje przez niego nigdy ujęty w kategorie etyczne. Tylko Grubiński potrafił napisać „Uczętę Baltazara” w ten sposób, by nie powstał w niej ani ślad tendencji społecznej. Zajmuje go gra życia: falowanie namietności, pogoń za rozkoszą, niespodzianki psychologii ludzkiej. Grubiński jest „najwewnętrzniejszym” z naszych realistów. Zajmują go nie tyle sploty zjawisk zewnętrznych, ile to, co się w psychice człowieka odbywa. W niektórych jego nowelach, np. w „Mocy kamiennej”, akcja odbywa się prawie całkowicie w obrębie duszy ludzkiej. Lecz pomimo to jest on realistą przez to, co głównie ten rodzaj temperamentu określa: mianowicie, bierze on rzeczywistość nie pożądaną, lecz *daną*.

Beztendencyjną i bezstronną obserwację zjawisk, płaty życia zamknięte w sobie, nie mające żadnego celu, prócz stawienia nam przed oczy artystycznie ujętej sceny, spotykamy również u Zygmunta Bartkiewicza, Choynowskiego, z piszących dla teatru — u Kiedrzyńskiego. Wynikiem takiej obserwacji bywa częstokroć zaakceptowanie ułomności ludzkiej i przez uprawnienie wszystkich zjawisk, byleby były barwne i oryginalne, pobłażliwe dla tej ułomności. Blisko stąd do nihilizmu, w który wpadł realizm rosyjski. Mocne życie i zdrowa twórczość musi zawsze stosować ocenę zjawisk nie tendencyjną, lecz wynikającą samorzutnie z ustosunkowania światła i cienia w utworze.

Sfera zjawisk codziennych, którą obierają sobie realisci, nie daje wielkich i głośnych tragizmów i często obrana jest z patosu. Znają i oni sytuacje tragiczne, znają momenty

wzniosłości, lecz nie jest to ich żywiołem. Śmierć prześlicznej skrzypaczki Maryni w „Wirach” jest bezwątpienia tragiczna. Lecz nawet dokoła niej niema tego przeraźliwego, obłędnego prawie natężenia, tej okropnej szarpaniny, jakby zgrzytania po obdarłej ze skóry czaszce, jak u Przybyszewskiego lub Żeromskiego. W sztuce Przybyszewskiego „Dla szczęścia” ból przechodzi w krzyk szalony, w sztuce Stefana Krzywoszewskiego „Aktorki” złamane serce kobiety wypowiada się tylko w dyskretnym uśmiechu bolesnym. U Weyssenhoffa porzucenie dziewczyny przez bogatego panicza odbywa się bez wielkiej targaniny, ze spokojem nieuniknionej klęski żywiołowej, którą znosi się z rezygnacją („Soból i Panna”). Ten sam motyw u Żeromskiego („Wierna rzeka”) przechodzi w rozdzierający ból, ból zabójczy, nie tylko dlatego, że sprawa odbywa się w innej sferze, lecz dlatego, że Żeromski ujmuje życie intensywniej — od strony bólu.

Pogodny optymizm, który nie pozwala na pogłębianie tragizmów, posiada Stefan Krzywoszewski, jeden z najkulturalniejszych naszych autorów, kształcony na najlepszych wzorach francuskich. Są i w jego utworach momenty tragiczne (Edukacja Bronki, Przywódca, Aktorki). Lecz z wyjątkiem „Przywódcy”, zawsze sztuka Krzywoszewskiego kończy się nie przeraźliwym jękiem, lecz najwyższej mgiełką smutku, że o to np. była szczerą i ładną duszą Bronki, wielką i poważną miłość Anny, a zostały przez brutalne zetknięcie się z życiem złamane, zniszczone. Podeptano w nich najlepsze pierwiastki. Dalej pójdzie ich życie zwykłą koleją. Bronka będzie szalała po gabinetach, Annę zaabsorbują scena, zamiłowanie do sztuki, lecz pozostanie na ich duszach osad rdzawy, zostanie niewidzialne pęknięcie. Lecz tragedia to cicha, nie beznadziejna ostatecznie.

Krzywoszewski rzadko maluje zupełnych łotrów. Najczęściej nawet w istnieniach podupadłych, Nieciuszki, Borejszy znajduje iskry w popiele. Częściej maluje głupotę, samolubstwo, brak poczucia obywatelskiego, jak w „Rusałce”. Lubi się śmiać spokojnym sercem dobrego człowieka i nam każe się śmiać wraz z sobą. Pogodna krotchwila stylowa p. t. „Dyabeł i Karczmarka” jest wyrazem zdrowego życiowego optymizmu, który zna ułomności ludzkie, lecz zna też dobre ich strony.

Realistyczne ujmowanie życia wyklucza wogóle odtwarzanie zjawisk idealnie doskonałych. Sienkiewicza, który jest ze światopoglądu idealistą, zmusza jego temperament do dodania pewnej dozy ułomności nawet sympatycznym swym postaciom. Oto reprezentatywny Połaniecki jest zwykłym mężczyzną, widzącym w swej żonie przedewszystkiem powabną jej postać i zdradza-

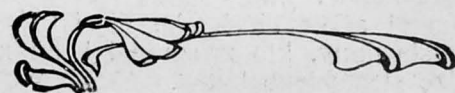
jącym ją, pomimo miłości, bo nie może się oprzeć pokusie. Krzycki w „Wirach” jest zdrowy i sympatyczny, lecz płytki i nieuduchowiony. Doskonałem zjawisko być nie może, niższe, żywiołowe pobudki zawsze zwyciężają w człowieku. Dlatego w „Pani Juli” Krzywoszewskiego zgoda między małżeństwem po zdradzie żony nie może potrwać długo.

Realizm ma swoje poważne zadanie. Odtwarza nam rzeczywistość z brakami jej, ułomnościami, daje nam istotne ustosunkowanie sił społecznych i moralnych, daje wiedzę o społeczeństwie, jakim jest. Trzeba wprawdzie poznać rzeczywistość, zanim się jej przeciwstawimy i zaczniemy nad jej przemianą pracować. Innym zadaniem sztuki realistycznej jest dawanie surogatu życia. W naszych warunkach trudno jest jednostkom wyżyć się całkowicie, zaczerpnąć z życia tyle, by to zaspokoili nasze pragnienie. Zamało wstrząśnień, zamało zdarzeń, monotonna praca zawodowa i częstokroć bezbarwne życie domowe wzbudza w człowieku potrzebę przeżyć choćby iluzorycznych, lecz naśladowanych życia. Dlatego powieść i scena realistyczna bardzo długo, może zawsze będzie zaspokajała pewne, bardzo istotne potrzeby duchowe człowieka. Im bardziej zacieśnionem, skrępowanem jest życie społeczeństwa, im trudniej każdej jednostce osiągnąć pełnię życia, tem chciwiej szuka ona surogatu życia w sztuce.

Sztuka romantyczna, oparta na wyczuwaniu świata pożądanego, daje za to rzuty w przyszłość, stawia przed oczy idealne pierwowzory, które trzeba w życiu wcielić, wyszukuje, z trudem formułuje nowe, rodzące się pierwiastki ducha, natęcza niezadowolenie z rzeczywistości danej i tęsknotę ku innym formom bytu. I tak dopełniają się te dwa kierunki w sztuce. Czasami przeważa jeden, czasami drugi. Przed okresem r. 1905 przeważała sztuka modernistyczna — ten protest przeciwko światu danemu, ta głęboka tęsknota ku wyjściu z niego. W ostatnich czasach widzimy olbrzymią przewagę realizmu w literaturze naszej. Nie tylko dają dzieła coraz to nowe Sienkiewicz, Peymont, Weyssenhoff, Zapolska, Sieroszewski, lecz w plejadzie młodych nowo-formujących się talenty zapowiadają się przeważnie w kierunku realistycznym, z wyjątkiem utalentowanego stylizatora, Leona Choromańskiego, i paru innych.

Spółeczeństwo wpatruje się we własną, codzienną rzeczywistość, poznaje siebie. Wkrótce przyjdzie czas, gdy pozna siebie do głębi, przesyca się sobą i zatęskni do nowej swojej postaci.

Savitri.





Rysunki obłąkanego artysty. (Z kajetu Wandalina Strzałeckiego).

Smutny jubileusz.

Czy pamiętacie Wandalina Strzałeckiego?

Najmłodsze pokolenie pewnie o nim nie słyszało; starsze wie, że był pełnym talentu malarzem i że w młodym wieku, nie doszedłszy pełnego rozkwitu zdolności, zniknął nagle ze sceny życia bez wieści i śladu...

Stało się to przed dwudziestu pięciu laty, a to jest jedna z cyfr jubileuszowych.

Ogromna większość, nawet wśród towarzyszy pracy, mniema, że Wandalin Strzałeckiegi oddawna nie żyje. Ale to nie jest prawda. Nie jest nią przynajmniej w połowie.

Kogo losy polskiego artysty obchodzą, niech rękę mi poda. Pójdźmy na jedną z cichych, na krańcach Warszawy leżących ulic, u której wylotu rozpościera się już szaro-zielona płaszczyna łąki podmiejskiej, z widokiem na forty Cytadeli i daleki dworzec drogi Nadwiślańskiej.

Jest tam kościółek, ledwie widny wśród gąszcza bujnie rozrosłych drzew — ustroń miła, głębokim spokojem dziwnie nęcąca znużoną duszę dzisiejszego nerwowca. Wśród gałęzi hałasują zawsze wesołe, niefrasobliwe wróble; pod gzemsami ćwierkają jaskółki. Zakątek iście wiejski. Na tarczy zegarowej, powyżej drzew błyszczącej, wskazówki zdają się poruszać leniwiej i czas upływać wolniej, niż w śródmieściu.

Wielki krzyż, tak niemal wysoki, jak fronton kościoła, modli się do Boga wypisaną na nim modlitwą: „Jezu, Synu Boga żywego, zmiłuj się nad nami“. Inny napis, łaciński, na samej attyce kościoła, głosi: „Błogosławiony, kto zrozumiał ból i nędzę ziemskiego bytu“.

Do kościoła przylega gmach jednopiętrowy, skromny, z szeroko rozmieszczonymi oknami. Kto zna mowę murów, odrazu odgadnie, że tu nie mieszka zdrowie, wesołość i uciecha życia.

Wstąpmy tam i, uzyskawszy pozwolenie, dostaniemy się do „ogólnej sali męskiej“. Otoczy nas tłum ludzi różnego wieku i temperamentu. Jedni, nadzwyczaj ożywieni, z błyszczącym wzrokiem, z czołem od natłoku myśli sfałdowanym; inni, jakimś niezmiernym smutkiem przejęci i złamani, z chmurą na czole, łzą w oku, ustami od łkań i jęków wykrzywionymi; inni jeszcze milczący, nieruchomi, ze żrenicą szklaną, pełni ostatecznej apatii, w kamień i drewno obróceni.

Pomińmy ich wszystkich i zwróćmy się do tego spokojnego człowieka, który usiadł na podłodze, plecami oparł się o ścianę, i w utrzymanym

na kolanach kajecie ołówkiem coś kreśli. Pochłonęło go to zajęcie, obcy jest tłumowi, zabelniącemu wielką izbę, nic i nikogo zdaje się nie dostrzegać.

Kreśli pośpiesznie, z zapalem, to przybliżając, to oddalając zeszyt, a gdy mu się ołówek przytępi, zaostrza go kawałkiem szkła, dobytym z kieszonki.

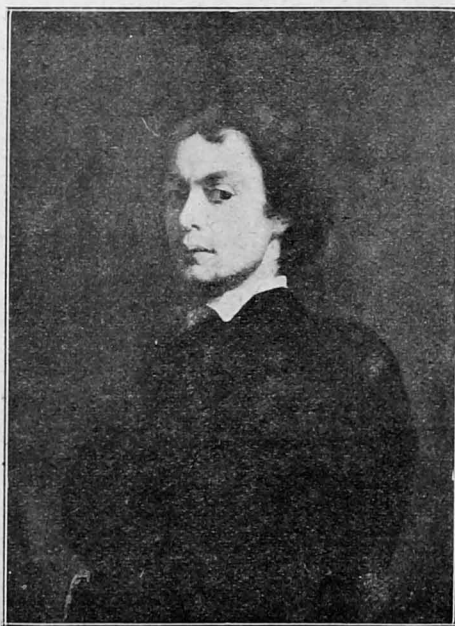
W tem miejscu scyzoryków, nożów i wszelkich ostrych metalowych narzędzi używać nie wolno. Nie pozwala na to — regulamin.

Jest to mężczyzna niemłody, z twarzą niepiękną, lecz wyrazistą i niezwykłą. Przypomina ta twarz maskę Rembrandta w wieku późniejszym. Włosy jego gęsto przyprószyła siwizna, oczy głęboko zapadły i przed światem kryć się zdają. Zresztą, jest z pozoru człowiekiem, jeśli nie zadowolonym, to zrezygnowanym.

Stańmy za plecami tego mężczyzny i przypatrzmy się jego robocie. Nie rozgniewa się o to i nie obrazi. Będzie nam nawet na pytania odpowiadał — nie patrząc na nas. Dobrze zresztą, gdy przyniesiemy mu w darze czyste kajety i zaostrzone ołówki. Wdzięcznem przyjmie je sercem.

Spokojny ten człowiek nie kreśli bezkształtnych zygzaków. Rysuje — rysuje poprawnie. Odrazu poznajemy, że to nie dyletant, lecz artysta.

Posłuszny myślom ołówek w kilku liniach zamyka pejzaż; śmiało, bez zatrzymania się kreśli całego człowieka, lub twarz, pełną wyrazu. Rysownikowi nie są obce dawne ubiory i uzbrojenia. Umie właściwie odziać rycerza w wojenny rynsztunek, pазia królewskiego i samego króla. Często na jednej karcie zgromadzi tłum osób róż-



Wandalin Strzałeckiegi. (Autoportret).



Nogi potworne są manią obłąkańczą artysty. („Żeby ludzie mocniej stali”).

Z kajetu Wandalina Strzałeckiego.

żnego stanu, a ten tłum sfornie jest skupiony i poruszać się zdaje.

Jednak w tych rysunkach, przy dłuższym wpatrywaniu się, coś się nam zaczyna nie podobać. Mniejsza już, że ci wszyscy ludzie mają twarze niemiłe, spojrzenia dzikie lub tępe — to może być odrębnością rysownika, jego artystycznym *cachet*. Gorzej z pewną przesadą w szczegółach, bardzo już blizką potworności...

— Panie... — nieśmiało zapytujemy — dlaczego ten elegant, ten oficer, ta dama i ten chłopiec mały mają piersi tak bardzo, na szerokość i wysokość, rozrosłe?

Artysta przybiera wyraz lekkiego zdziwienia, — namyśla się, — potem mówi głosem przyciszonym, poufnym, jakby nam tylko zwierzał wielką, w samotności wyhodowaną ideę:

— Pierś nigdy nie może być za nadto szeroka i wypukła... Tylko w taką pierś nabrać można dużo powietrza. A jakąż to przyjemność odetchnąć, długo, swobodnie, głęboko...

Podkreśla te słowa odetchnieniem, które ma być długie, swobodne i głębokie, przerywa się jednak dusznością i kaszlem.

Pragniemy z kolei rozwiązać inną wątpliwość.

— A te stopy — zapytujemy — koniecznie być muszą tak olbrzymie i rozplaszczone? Wszakże ludzie normalni mają stopy trzykrotnie i czterokrotnie mniejsze.

— To nic, panie, to nic. Wiele rzeczy nie dzieje się na świecie, jak należy. Ludzie *powinni* mieć takie stopy, jak ja rysuję. Staliby na nich mocno, twardo; wiatr by ich tak łatwo nie wywraçał.

Artysta nie poprzestaje na rysowaniu. Zapewniwszy środek kajetu

tu szkicami, na okładce wypisuje powieściowe i historyczne fantazje.

Pisze prędko, nie odejmując pióra lub ołówka od papieru. Rękopisy te są nader trudne do odczytania. Trudność największa stąd wynika, że wyrazy, wogóle nieczytelne, łączone bywają po trzy, cztery i więcej w jeden. Artysta pisze naprzykład: „grubypugilaresasvgnatpełny”, co znaczyć ma: gruby pugilares asygnat pełny.

W rysunkach powtarza się często twarz artysty; w tem, co pisze, dostrzegamy jego duszę. Posępna jest ta dusza i beznadziejnie smutna...

Oto początek jednej z jego fantazji, powtórzonej dosłownie, z poprawieniem tylko ortografii i punktacji:

„Deszcz drobny mżył. Nie wesoło coś było za drobnem okienkiem pochylonego nad stołem grawera. Sędziwe, niby setne lata, pochyliły

ongi czerstwą, nadobną twarz. Machinalnie poprawił pieszczone niegdyś, drobne bakenbardy — i ciężko westchnął pan Zoryan. Odrzucił posępnie gazetę, pełną zimnych anonsów i deklamacyi; rześiste łzy, jak perły, zsuwały się po zawiedłej twarzy jego.

Zegar, drobno stukający, późną wybrząkał godzinę.

— I to ja, zapomniany, zatęchły, stary, nieznany światu. On żyje, hula, bawi się, używa — a ja!...

Ot, mospanku, kiedy życie, jak sen, przemknie, nie trzeba patrzeć owoców, gdy praca innych ich nie ma. Mospanku! miliardy takich, jak waćpan, pracowały, pracują i pracować będą. A nuż waćpan jutro taksamo do ulubionego zasiądziesz kątku, do lubej pracy?...

W tem miejscu jakiś zbawca-przyjaciel, posiadacz grubego, pełnego asygnat pugilaresu, wydobywa



Z kajetu Wandalina Strzałeckiego.

„zatechłego pana Zoryana“ z zamknięcia — poczem obaj, na okręcie z rozpostartymi żaglami, udają się „przez Portugalię do Peru“.

Czyż nie są to rojenia skrepowanego niemocą ducha, który jeszcze ostatecznie o sile skrzydeł swych nie zwątpił?...

Nie potrzebuję chyba objaśniać cię, łaskawy mój towarzyszu, że przybytek, któryśmy zwiedzili, jest lecznicą, założoną ongi przez „dobrych braciszków zakonnych“ (*Boni fratelli*), pod wezwaniem Świętego Jana Bożego; i że w artyście, siedzącym na podłodze i kawałkiem szkła ostrzącym ołówki, odnaleźliśmy — Wandalina Strzałeckiego.

Czy ten człowiek i to miejsce rozłączeni jeszcze kiedyś zostaną — nie przez śmierć, lecz przez życie? Rzecz jest mało prawdopodobna, do niemożliwych jednak nie należy.

A gdyby ten cud spełnił się, Wandalin Strzałecki wróciłby do życia i sztuki z nienaruszoną techniką malarską, a z duchem przez długie cierpienie dojrzalszym i bogatszym.

Otrzymałbyśmy wówczas dalszy ciąg prac pełnego talentu artysty, który już w dziejach polskiego malarstwa swą kartę posiada.

Ta nowa serya byłaby niewątpliwie od pierwszej smutniejsza, — choć i tamta wesołością się nie odznaczała. Wandalin Strzałecki miał zawsze duszę mroczną, o czem świadczył szary, posępny, jakby zaduszony koloryt jego obrazów. W wiosnie życia słońce nie przyświecało jego duszy — może zabłyśnie żywiej w jesieni, choćby przed samym zachodem...

Wiktor Gomulicki.

90-ta rocznica urodzin T. Jeża.

Nikt z żyjących nie pamięta tyle intensywnego życia polskiego, co Zygmunt Miłkowski, popularny i czcigodny Teodor Tomasz Jeż. Obchodzi on w tym tygodniu 90-letnią uroczystość swych imienin, a z różnych stron Polski posypały się ku niemu serdeczne życzenia i wyrazy pamięci, które zacnemu emigrantowi z pewnością obojętne nie będą.

— Jest nas tylko już trzech z pisarzy, co pamiętamy uniesienia roku 1848, — mówił nam przed laty kilkunastu już — Zacharyasiewicz, Kaczkowski i ja.

Umarł Kaczkowski, umarł Zacharyasiewicz, a krzepki starzec, zakonserwowany w życiu, nad wyraz skromnym, i w czystym powietrzu wolnej Szwajcaryi, trzyma się dzielnie i nie ustaje w pracy nawet, niedalej bowiem, jak roku ubiegłego, czynnie się wtrącił w nieporozumienia raperswylskie i osobną broszurę o nich drukiem ogłosił.

Już mieszka od dziesiątków lat w Szwajcaryi. Po pełnych przygód różnorodnych i różnobarwnych latach na Wschodzie, po długim pobycie wśród Turków i wśród Serbów, osiadł wśród szwajcarów, naprzód w Lozannie, potem w Genewie, wkońcu w Zurichu lub jego okolicy. W Szwajcaryi napisał przynaj-

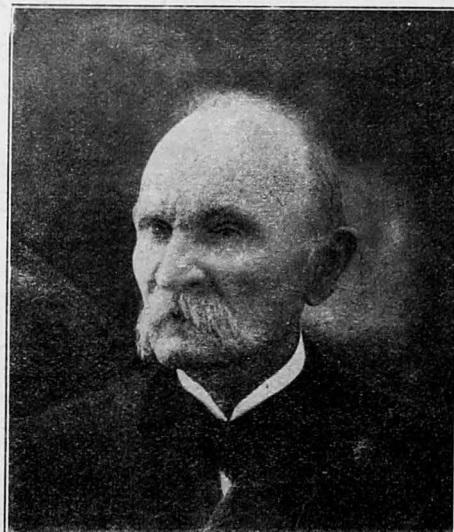
mniej połowę swych powieści, tu redagował przez wiele lat organ naszej emigracji „Wolne Polskie Słowo“, drukowany przez Reiffa w Paryżu, tu skreślił swe pamiętniki, będące tak ważnym przyczynkiem do historii powstania 63 roku.

Polacy, zwiedzający Szwajcaryę, czynili sobie często obowiązek złożenia wyrazów hołdu Jeżowi i znajdowali się wobec postaci łagodnej a żywotnej, która łączyła w dziwny sposób marsowość wyrazu ze słodyczą obejścia. Kiedy się spoglądało na wyrazistą twarz Jeża, grubemi wąsami pod ostro narysowanym nosem ozdobioną, i na głębokie bruzdy na pięknym czole jego, miało się wrażenie, że oto jest typowy polski wojak, charakterystyczny *pulkownik* legionów, żywa pamiątka ludzi takich, jakimi w swym zasadniczym typie byli: Dembiński, Bem, Czajkowski, Jagmin. Ale z tej twarzy surowej i mocno wyrzeźbionej patrzą oczy błękitno-błade spokojnie i niemal marzycielsko, a z tych ust padają słowa dziwnie łagodne i z uprzejmością ujmującą.

I raz jeszcze te słowa, tak słodkie, tak jedwabne, kontrastują w tym człowieku z tem, co, jako jego zasady odsłania się w rozmowach z nim; ten człowiek, ujmujący łagodnością, serdecznością, delikatnością, należał do najmniej ustepliwych, do najbardziej całkowitych, do najnieprzejednańszych ludzi, jakich historia nasza wydała.

Od pierwszego chrztu, jaki otrzymał w ogniu za wolność, nie ugiął się on ani razu w linii swych przekonań i swego postępowania. Nigdy go nie dotknął żaden oportunizm. Odmówił nawet wyciągającej się doń pomocy z Galicyi, — gdzie danoby mu chętnie i radośnie możność wypoczynku na posadzie w jakiejś instytucji publicznej, — bo Galicya, to nie jest Polska niepodległa... Odwiedził Galicyę, ale w niej nie pozostał. Nieugięty starzec pozostał wiernym sobie. I tak trwa, — do brązu, do granitu podobny — rok już dziewięćdziesiąty.

A jednak jego życie w tej Szwajcaryi było ciężkie. W Lozannie założył pensjonat dla młodzieży, który nie dał spodziewanych korzyści. W Genewie żył wyłącznie z pióra, wśród polskich stosunków tak zatrutych, że aż jadawitemi można by je było nazwać. Dopiero przeniesienie się do Zurichu dało starcowi atmosferę, w której mu było lżej oddychać. Ale też tam spotkał go cios życiowy największy: utrata małżonki, Zofii z Wróblewskich, która stała przy jego boku wiernie i mężnie, pełna jego



Zygmunt Miłkowski (T. Jeż).

ideałów, które umiała wyrażać z płomieniem, rozpalającym słuchaczy.

Pamiętam go z czasów genewskich, gdy widywałem się często z Jeżem, z czasów, prawdopodobnie, w trudnym jego życiu najcięższych. Był on już wtedy jednym z najzasłużeńszych u nas ludzi i — z najbardziej zapomnianych; publiczność przestawała czytać jego powieści, wydawcy traktowali go ozięble, redaktorzy wykrecali się od drukowania jego korespondencji „Z zachodu“, tak zawsze jednak ciekawych, a różni szlachetni ludzie zbierali nań w kraju sute składki, które prawie nigdy nie dochodziły do Genewy... Widywałem wtedy nieraz marsową a słodką postać pływaka, dążącego na targ z plecionką na ramieniu... On to kupował prowizye domowe... Żona była chora, syn w legii francuskiej, córki w szkołach... Brak zaglądał stale do domu Jeżów...

Miło mi pomyśleć, że ten ciężki obraz z życia znakomitego polskiego rycerza i pisarza należy do przeszłości.

A. Pawłowski.

Miasto zamieszkałe przez samych Polaków.



Miasto polskie bez Żydów...

Pominawszy Poznzańskie, gdzie zdarzają się małe miasteczka polskie, niezwykle taki okaz istnieje na przestrzeni całego naszego kraju w jednym jedynym egzemplarzu — w Galicyi. Powiatowe miasto galicyjskie Żywiec jest

tym osobliwym grodem, w którego obrębie mieszkają sami tylko Polacy, a w szczególności nie mieszka ani jeden Żyd. Jakim sposobem uchwalił się w nizinie sarmackiej taki dziwoląg?

Powiadają o jakimś odwiecznym „przywileju“, który ubezpieczał Żywiec od dobrodziejstwa zamieszkiwania go przez ludność żydowską. Jeżeli był istotnie, to prawnie nie obowiązuje on już, odkąd dawny gród królewski przestał podlegać Rzeczypospolitej, a przeszedł pod władanie monarchii austriackiej, której konstytucją cieszy się dziś w całej pełni. Nie jest przywilejem ten wpisany do żadnej prawomocnej księgi ustaw — mimo to przecież żyje i obowiązuje, zapisany mocno w żywej tradycji mieszkańców, którzy z pokolenia na pokolenie są jego czujnymi stróżami. Żaden Żyd nie może w Żywcu zamieszkać. Jest to tak naturalne, że nikt nie przypuszcza, aby mogło być inaczej. Żywczanie nie są wcale rozagigutowanymi, a tem mniej zorganizowanymi antysemitami. Poprostu, uważają, że w mieście polskim powinni mieszkać Polacy. Nikt w mieście nie wynajęłby ani mieszkania, ani



Jarmark w Żywcu.



Kościół św. Krzyża w Żywcu (wiek XV).

lokalu sklepowego — żydowi. Gdy przed laty wylała się ktoś z tej, powszechnie obowiązującej reguły, i gdy w domu jakiegoś mieszczaństwa próbował osiedlić się żyd-adwokat, całe miasto zajęło się natychmiast wyprowadzeniem nowego lokatora za rogatki, zostawiając go tam swemu losowi. Od tego czasu nie było już prób podobnych. Nie dająca się przełamać tradycja obowiązuje w Żywcu dalej...

Osobliwe miasteczko jest, jak wiadomo, stolicą rozległych majątków arcyks. Karola Stefana, a niezbyt urozmaicone dzieje jego opisał sumiennie sławetny Jędrzej Komonicki, wójt tutejszy, zmarły w r. 1729.

Założony został Żywiec w roku 1400 przez osadników z Oświęcimia, za panowania „oświeconego księcia Kazimierza“ i, gdy reszta Polski podlegała już Jagielonom, on długo jeszcze uznawał nad sobą władzę Piastowiczów śląskich, którzy tu siedzieli na drobnych udzielnych ksiąstewkach. Dostaje się wreszcie w ręce ostatniego ze swych Piastowskich władców, Janusza, który to niespokojny, awanturniczy i nawet zbójeckim rzemiosłem potroszę narajający się miniaturowy monarcha, sprzedał całe swe księstwo, wraz z Żywciem, w r. 1457 królowi polskiemu za grzywien 50.000. Odtąd należy Żywiec do Rzeczypospolitej. W posiadaniu Korony znajduje się jednak tylko przelotnie. Przechodzi na własność panów Korczaków Komorowskich, „największych miasta dobrodziejów“, w których rękę trwa przez kilka pokoleń i których łaska „obficie darzony“, urasta niebawem w zamożność. Za Zygmunta prowadzi rozległy handel ze Śląskiem, posiada szkoły, ma bogate i oświecone mieszczaństwo, które funduje szpitale i instytucje publicznej użyteczności.

Przez lat czterdzieści znajduje się Żywiec znowu w posiadaniu monarszem, jest własnością Wazów i dwukrotnie gości na zamku swym Jana Kazimierza, po raz drugi po złożeniu korony, tuż przed wyjazdem nieszczęśliwego króla na dobrowolne wygnanie francuskie. „Hrabstwo żywieckie“ nabywają Wielopolscy i

dzierżą je odtąd przez półtora wieku, przez pięć generacji. Zamek wre wesołem i hucznym życiem saskiej epoki, ale miasto podupada. Niszczą je najazdy szwedzkie i pożary. W r. 1700 liczy zaledwie 1377 mieszkańców, potem mniej jeszcze... Po rozbiorach Wielopolscy sprzedają całą Żywiecczynę i przechodzi ona w ręce domu Habsburskiego, w którego posiadaniu dotąd znajduje się...

Podniósł się Żywiec w ostatnich kilkudziesięciu latach i jest dziś miasteczkiem ludnym, siedzibą władz powiatowych, szkół średnich, ożywionego handlu z Węgrami, ma spory zastęp inteligencji, ma potrzeby kulturalne. Niepośledni bierze udział w życiu narodowym. Z dawnych czasów pozostał mu przepyszny renesansowy pałac Wielopolskich, pozostał piękny, jeszcze późno-gotycki kościół Panny Maryi z oryginalną wieżą, pozostały zajmujące, o swojej architekturze dworki i domki, które w swoim czasie opisywał i ilustrował w „Świecie“ p. Maryan Olaszewski, pozostały staroświeckie, malownicze stroje mieszczańskie, dotąd jeszcze od święta noszone i tak często służące za motyw artystom, odwiedzającym Żywiec (malował je niedawno Fałat), i pozostała ta wyróżniająca go w całej Polsce osobliwość, że — niema w mieście żydów. Ale i pałac, i kościół, archi-

tektura domów, i koronkowe czepce mieszczeń żywieckich, wszystko to ustępuje przed tą ostatnią osobliwością...

Wrażenie jest istotne niezwykle.

Drogą, wiodącą od dworca kolei, wchodzimy w długą ulicę, która tworzy tu główną arterię ruchu i prowadzi do centrum miasta, do tradycyjnie czworobocznego Rynku. Uderza nas czystość i porządek zewnętrzne zagospodarowanie miasteczka. Suchą nogą idziemy po doskonałym chodniku. Z małych kamieniczek, które obramiają handlową i ruchliwą „ulicę Kościuszki“, wygląda solidny dobrobyt. Na wywieszkach sklepowych imiona tylko polskie. W Rynku, we wszystkich ulicach, w których uprawia się jakiegokolwiek proceder handlowy, sklepy są jedynie polskie. Niema żydowskiej tradycyjnej dzielnicy, niema handlu żydowskiego, ani domów żydowskiej, niema wogóle żydów! Wszelkie dobro, jakie znajduje się w mieście, należy wyłącznie do Polaków. Żywczanie dokazują tej niesłychanej w Polsce sztuki, iż znakomicie obywają się bez pomocy izraelskich naszych współobywateli. Sami się i sami zbierają. Są wybornymi kupcami i rzemieślnikami. Od gwoźdźcia do sztuki jedwabiu mają wszystko we własnym zarzą-



Każmierz Olpiński. Z przedmieść Żywca.

dzie i własnym obrocie. I żyją!... Naprzekór ekonomistom, zalecającym „przymieszkę żydowską“, jako niezbędny składnik polskiego życia, żyją! Wbrew wszelkiej oczywistości, wbrew logice polskiego bytu, wbrew teoryom zaprzysiężonych obrońców i konserwatorów polskiego „status quo“, to przedziwne miasto, ani jednego żyda nie posiadające, nie zapada się w ziemię!...

Żydzi zachodnio-galicyjscy, podobnie, jak ich warszawscy ideologowie, nie mogą, rzecz prosta, pogodzić się z myślą, aby curiosum takie mogło istnieć w kraju polskim. Gdy próby przełamania uporu mieszczań żywieckich zawiodły, osiedlili się w sąsiedniej gminie wiejskiej Zabłocie, przeistaczając ją jakby w konkurencyjne miasteczko, które domami i kamieniczkami swemi przylgnęło już do samego Żywca. Tu kwitnie żydowski handel, tu chłop okoliczny, dążący na jarmark, dostaje się w niezawodne ręce starozakonnych eksploatatorów, tu najobfitsze tryskają źródła alkoholu. Co mogą żydzi, to, w miarę swoich sił, robią. Tylko wejść do Żywca nie udaje im się w żaden sposób...

Dumne miasteczko trwa w instynktownym uporze. I, zapatrzone w swój mityczny „przywilej“, nie zastanawia się nad ciekawym proble-

mem: Czy jest tylko muzealnym szczątkiem przeszłości, która znała niegdyś miasta polskie, zamieszkane istotnie przez polaków, czy też może jest już symbolem nadciągającej przemiany, która sprawi, że miasto, pozbawione miłej „przymieszki“ starozakonnej, jak Żywiec, przestanie być na ziemi naszej sensacyjnym wyjątkiem?...

Żywiec.

Sz.

Nowoprojektowane państwko.

Przyszła Albania.

Na Bałkanach powstaje nowe państwo, którego narodziny odbywają się w niezwykle trudnych warunkach i wywołują niezliczone sprzeczności interesów między narodowych. Kwestya jego granic jest może najtrudniejszą. Dotąd ujawniła się spora ilość projektów Albanii, ale najgłośniejszymi są trzy: projekt sprzymierzeńców bałkańskich, dopuszczający stworzenie małej Albanii; projekt patriotów albańskich, dążący do stworzenia wielkiej Albanii, popierany poczęści przez Austryę, i wreszcie projekt wielkich mocarstw, mający na celu stworzenie kompromisowej, czyli średniej, Albanii.

Wielka Albania obejmowałaby dzisiejsze wilajety tureckie: skutaryjski, janiński, większość monasterskiego i część kosowskiego, czyli 47.000 kilometrów

kw. i około 1.700.000 mieszkańców. Byłoby to państwo tak duże, jak dzisiejsza Serbia, a należałyby doń: miasta Janina, Skutari, Dyakowa, Ipek i nawet Monastyr, oraz dużo ludności serbskiej i greckiej.

Średnia Albania, proponowana przez mocarstwa, miałaby rzekę Czarny Drin, jako granicę północną i wschodnią, i wchłonięłaby północną część wilajetu janińskiego. Do tej kompromisowej miała należeć także Janina, jeżeli by jej nie zdobyli grecy, a Skutari przeznaczona było na stolicę państwa. Taka Albania (z wyłączeniem Janiny) liczyłaby 25.000 kilometrów kw., czyli równałaby się piątej części Królestwa Polskiego, i miałaby około 1.000.000 mieszkańców, wśród których serbowie i grecy stanowiliby tylko 7 do 10 proc.

Wreszcie mała Albania, proponowana przez sprzymierzeńców bałkańskich, składałaby się jedynie z gór albańskich bez doliny Drinu Czarnego, bez Skutari i bez Janiny. Ta mała Albania liczyłaby 18.000 kil. kw. i 750.000 mieszkańców, prawie samych albańczyków, a stolicą jej byłoby miasto Walona.

Dziki, górzysty kraj, bez kolei, bez szos, bez przemysłu, bez wyrobionej literatury, zdążyłby zapewne dojść względnie szybko do wyższego stopnia kultury, gdyby na jego tronie zasiadł energiczny książę. Od Włoch Albanii oddziela tylko kilkadziesiąt kilometrów morza, a ludy dziś szybko się kształcą pod dobrą ręką. Niedługo prawdopodobnie będziemy czekali na powstanie projektowanego państwa albańskiego: dziś mamy przyspieszone tempo wydarzeń historycznych.

H.

Zgon wybitnego historyka i pisarza dla młodzieży.

S. p. Walery Przyborski, urodzony w r. 1845, z ławy Szkoły Głównej porwany przez burzę 1863, przypłaciwszy porywy swe ranami i więzieniem, osiadł 1869 r. w Warszawie, poświęcając się pracy literackiej. Zaczął od powieści współczesnych, zamilowanie atoli ciągnęło go wciąż do historii. Napisał więc dla młodzieży cały szereg powieści, dając w formie barwnej, jaskrawej, w zarysach grubszych, całe prawie dzieje porozbiorowe. („Bitwa pod Raszynem“, „Austriacy w Warszawie“, „Młody konfederat barski“, „Było to pod Jena“, „Racławice“, „Olszynka Grochowska“, „Pod Stoczkiem“ i t. d.).

Powieści te są stale ulubioną lekturą młodzieży. Napisał również dla młodzieży „Dzieje Polski“ (1879 r.), później przerobione i ponownie wydane, a które swego czasu ściągnęły surowe zarzuty z powodu zapatrywania autora na przeszłość naszą. Burzę również wywołała praca Przyborskiego p. t. „Włóczęganie u nas i gdzieindziej“ (1881), a zasady polityczne, jakie głosił później w redagowanej przez siebie *Chwili*, spotkały się z ostrym sądem i niemal ostracyzmem ogółu. Zasadami Przyborskiego kierowała, oczywiście, nie zła wola, lecz miłość kraju, odręb-





Walery Przyborowski.

nie pojmovana i sparzona, by tak rzec, doświadczeniem osobistem. W „Historyi dwu lat“, w „Dziejach

1863 r.“, w „Przyczynach upadku Polski“ wypowiedział sąd wytrawny o kolejach narodu polskiego w XIX stul. Ogromny dorobek historyczny i literacki Przyborowskiego odznacza się, mimo wartości niejednakowej, skrzętnem i sumiennem wyyskaniem materiału, bogactwem faktów, dokumentów i szczegółów — zwłaszcza z epoki powstańczej, wyjętych z akt rządu powstańczego, które szczęśliwym trafem dostały się do rąk Przyborowskiego. Zasłużony i spracowany pisarz-historyk od kilku lat osiadł w Radomiu, zmarł zaś w Warszawie, przybywszy tu szukać pomocy w dotkliwym cierpieniu fizycznym.



Oskarżeni kapłani katoliccy, księża: Sędziowski, Kostrzewski, Szepietowski, Zieliński i dr. Kosinski.

tych tryumfów maryawickich, w Rokitnie, a następnie kolej miała przypaść na Żuków, — i tak dalej...

Wszystkie te przewagi odbywały się na oczach władzy miejscowej.

Ale władza ta nie interweniowała...

Katolicy, dotknięci do żywego, rozdrażnieni napaściami i pogroźkami, zebrał się wreszcie w większej liczbie, dochodzącej — w dniu Wielkiej Środy r. 1906 — do 4000, i kościół w Błoniu maryawitom odebrali. Położyło to kres walce religijnej, której nie umiano zaradzić w inny sposób, i zaborcze pędy maryawickie zakończyły się.

Trzy lata upłynęło od tego czasu. Ks. Rogowski, którego maryawici tak zwycięsko wysiedlili z probostwa na ulicę, — w oczach przedstawiciela władzy lokalnej, — umarł; i zdawało się, że po tej przykrej sprawie pozostało tylko przykre, ale zacierające się wspomnienie. Aż oto Żmudzki postanowił ją odnowić. Udał się na miejsce, zebrał podpisy maryawitów pod odnośne zeznania i wystąpił do władzy prokuratorskiej z żądaniem wytoczenia procesu czterem księżom i

O kościół w Błoniu.

Fotografie specjalnego delegata „Świata“, p. Maryana Fuksa.

Kilka szczegółów ze sprawy sądowej.

Nigdzie zamęt, wywołany propagandą maryawityzmu, nie doprowadził do starć tak głośnych, jak w okolicy Błonia, niedaleko Warszawy. Zaczęło się to w fabrycznej miejscowości, Lesznie, gdzie Furmanik oderwał sporą część robotników od Kościoła katolickiego. Opanował on wtedy kościół w Lesznie i w nim odprawiał swe nabożeństwa. Ale i w pobliżu Błonia propaganda robiła postępy. Wtedy maryawici postano-

wili zdobyć kościół błoński, jak się zdobywa fortecę, już to siłą, już podstępem. Przyszli więc w większej ilości do proboszcza, ks. Rogowskiego, i wysiedlili go przemocą — na ulicę. Później zajęli kościół i uznali go za swój. Żmudzki odprawił w nim maryawickie nabożeństwo, poczem maryawici zabrali klucz od zamkniętego kościoła. Z kolei mówiono w całej okolicy o zdobyciu następnego kościoła, leżącego na drodze



OSKARŻENI. Ks. Szepietowski.



Ks. Kostrzewski.



Ks. Zieliński.



Ks. kan. Sędzikowski.



OSKARŻENI. Wesółowski, Markowicz (świadek), Tempieński.



Kowalski.



Mańkowski, Leon Świerciński, Gutkowski.



OSKARŻENI. Winnicki.



Rutkowski i Guzak.



Józef Kakiet.



OBRONCY. Mec. Leon Papieski.



Michał Miszewski.



Stanisław Kijeński.

trzem dziesiątkom osób świeckich. Prokurator do tego żądania przychylił się. Ponieważ jednak notoryczną było rzeczą, iż w powstałych na tle tej sprawy bójkach, — zresztą nie tak straszliwych, skoro tylko jedna staruszka zmarła, i to pośrednio, od uderzenia w głowę, i jeden tylko wojownik poniósł obrażenie na ciele, które obniżyło jego sprawność do pracy, — maryawici operowali i kijem, i skuteczniejszymi narzędziami, przeto pociągnięto i paru maryawitów przed sąd.

Nie jest naszą rzeczą osądzać, czy prokuratora uczyniła zresztą, wznowiając tę sprawę, pyłem zapomnienia już — pokrywana, ale z toku obrad wy-

stępuje w sposób rażący bierność władz miejscowych, bez której to bierności ani maryawici nie byliby poddawali się zwykłemu natchnieniu, ani też najmniejsza potrzeba nie zachodziła by odbierania kościołów, zagarnianych przez garstkę odstępców tysiącom wiernych Kościołowi.

Obroncy zresztą przygotowują sobie ten wielki atut obrony. Oto np. dyalog p. Papieskiego ze strażnikiem:

— Więc pan widział, jak wyrzucali rzeczy księdza Rogowskiego na ulicę z jego mieszkania?

— Widziałem.

— I nic pan nie przedsiębrał?

— Nie, bo nie kazano nam się wtrącać do spraw religijnych.

— Zatem wyrzucenie drogą gwałtu z mieszkania księdza przez zażarty tłum jest dla pana — sprawą religijną?

Strażnik wzrusza rozpaczliwie ramionami.

— Ale czy pan doniósł o tem swej władzy wyższej? — zapytał go nieśmiały obrońca.

— Doniosłem.

— I cóż panu powiedział pański zwierzchnik?

— Iż to jest — nie moja sprawa.

Wrażenie tego krótkiego a charakterystycznego dialogu jest olbrzymie.

W krótkie a charakterystyczne dialogi sprawa ta zresztą obfituje. Co kilkanaście minut zjawia się świadek, który budzi w sali wesołość, — w gruncie rzeczy wesołość smutną, teraz bowiem dopiero wychodzi na jaw cała naiwność, cała pierwotność, cała niezdolność do jakiegokolwiek myślenia tych ludzi, którzy wybierali się na zdobywanie kościołów katolickich, jednego po drugim.

Dorożkarz z Błonia, Maciejewski, opowiada sądowi, że go katolicy — zabili.

— Leżałem zabity na cmentarzu, — opowiada ten nieboszczyk, — gdy przyszli jacyś ludzie i mówili: „nie może być, żeby mankieta śmierdział na cmentarzu, trzeba go utopić w sadzawce“. I zaczęli mnie do sadzawki ciągnąć...

Inny świadek, Wnuk, zapewnia sąd, że otrzymał katolicką kulę w bok.

— W który bok? Prawy czy lewy?

— Tego już nie pamiętam.

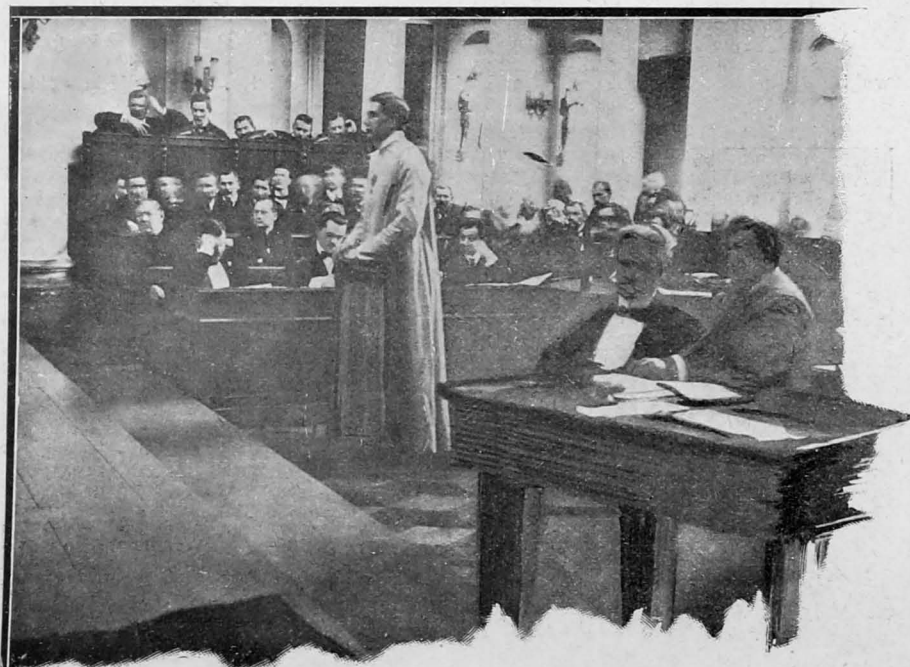
Jeszcze inny świadek, Mielczarek, dowodzi, że ks. Sędziakowski wymagał od ludzi przysięgi, że będą bronić go.

— Jakiej przysięgi? Czy takiej, jak teraz, w sądzie?

— Eh, nie, nie takiej.



Sańkow, starszy strażnik powiatowy. „Nie majo dieto“.



Kiryl Żmudzki vel Żebrowski duchowny maryawicki, jako świadek, przed sądem.



Duchowni maryawiccy: Tułaba i Pagowski (aastania się ręką przed fotografem).



Ława obrońców Nowodworski, Kozłowski, Makowski, Rundo. Dumitraszko przew.sądu.

— Więc nie uroczystej?
— O, uroczystej, bardzo uroczystej.
— A po czymże świadek mniema, że to była uroczysta przysięga?

— A bo stało tylu ludzi z kijami...
Potłuczeni marynawici na polu walki o kościół nie chcieli się leczyć.

Czemu?
Ach czemu?! To może głębiej wchodzi w psychologię naszego ludu, nawet z okolic Warszawy, aniżeli inne rysy...

Jan Makowski nie przyjął lekarstwa od doktora, choć powiada, że chorował ciężko...

— Myślałem, że to trucizna... — mówi poprostu.

Zacytowany już wyżej Wnuk nie chciał wezwać lekarza do pomocy:

— A bo ja głupi? — chwali się. — Doktorzy chodzili i dobijali poranionych. Ja ta miał jeszcze siły i uciekłem przed nimi do domu...

Jeszcze jeden epizod z tego procesu, — do farsy:

Apolonia Borysowa zapewnia, iż widziała ks. Sędziakowskiego, jak osobiście prowadził zastęp ludzi do odebrania kościoła.

— A po czymże go pani poznała?

— Po tem, że był w masce.

— Jeżeli był w masce, to jakże go pani mogła poznać?

— A bo on umyślnie włożył maskę, żeby go nie poznać...

Takie sceny nasze pisma cytują z tego procesu garściami...



Na wolności.

Amnestya otworzyła wrota więzienne kilku polskim literatom-redaktorom. Wszyscy oni odsiadawali kary za przestępstwa prasowe. Amnestya też uwalnia od odpowiedzialności zasądzonych, lecz będących na stopie wolnej, za poręczeniem, uwalnia nawet tych, przeciw którym dopiero wdrożono śledztwo.

W sam dzień ogłoszenia amnestyi uwolniono z więzienia p. Leo Belmonta, redaktora zawieszonego „Wolnego Słowa” a obecnego kierownika „Polemisty”.

Chciał bowiem dowiedzieć, że oskarżono nieprawnie „Odrodzenie” o obrazę Majestatu, i pociągnięto go właśnie z tego samego paragrafu do odpowiedzialności. Sąd był niemiłosierny i skazał za „wyjaśnienia”, że „Odrodzenie” nie obraziło Majestatu, p. Leo Belmonta na rok twierdzy.

Poszedł więc w skrusze do więzienia. Osadzono go miast w twierdzy, w więzieniu dla kryminalistów przy ulicy Długiej i kazano się przez dwa miesiące namyslać. Na humorze jednak nic nie stracił. Żywy i wesoły, opowiada swoje przygody w sposób następujący:

„Z początku siedziałem z więzieniem administracyjnym. Później sam w czterech ścianach czytałem, pisałem i myślałem, myślałem, bo w więzieniu tylko myśleć można. Reszta funkcji życiowych zależna jest w zupełności od „naczalstwa”.

— A czy pan czytał pisma?

— Broń, Boże. Czytać pism nie wolno, chociaż zazwyczaj człowiek najwięcej stara się robić to, co mu jest wzbronione...

— Pisał pan artykuły?

— Nie, panie. One telepatycznie zjawiały się na szpaltach „Polemisty”, którego prowadziłem od nowego roku.

— To z pana czarodziej, panie redaktorze!

— Nie zupełny, ale w każdym razie człowiek oryentujący się zawsze w sytuacji.

— Zdrowie panu dopisywało?

— Aresztant musi być zdrow — i basta!

— Panu się przytrafia taka „przejażdżka na Riwierę” nie po raz pierwszy?...

— Tak, cieszę się względami cenzorów. Dbają oni o mnie, jak najczulszy kochanek. Zwiedziłem ratusz, cytadelę, byłem na Spokojnej, jednym słowem, mam stosunki już wyrobione.

— Nie życzę panu jednak więcej z nich korzystać.

— Dzięki, dzięki...

— A kiedy pana uwolniono?

— W dzień amnestyi...

Wesoło też opowiada swoje przejścia p. Iza Moszczeńska, znana działaczka i publicystka. I ją skazano na rok twierdzy. Oskarżano z 28 i 29 paragrafu. Motywem oskarżenia był artykuł, zamieszczony w „Odrodzeniu”. Artykuł ten traktował o sprawach finlandzkich i w nim dopatrzono się różnych zbrodni, o których oskarżona wcale nie wiedziała, że mogą być przedmiotem zgorszenia. Apelowala, robiła różne zabiegi, lecz wszystko to nic nie pomogło. Sześć miesięcy temu zgłoszono się do p. Moszczeńskiej, by raczyła zadość uczynić sprawiedliwości. Trudna rada, choć było bardzo nie na rękę, bo p. Moszczeńska utrzymuje pracą swoją rodzinę i staruszkę matkę, trzeba było pożegnać się na rok ze wszystkim i wszystkimi.

— A gdzie pani odsiadwała wyrok?

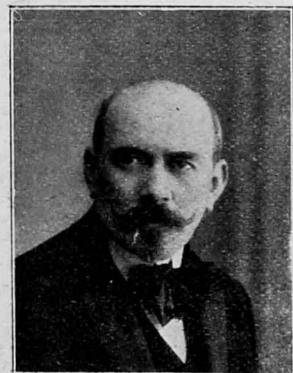
— Na Pawiej, w więzieniu śledczym dla kobiet...

— Czy pani sama mieszkała w celi?

— Samiuteńka. Pracowałam wiele. Napisałam powieść i zaczęłam pisać obszerne studium o prawodawstwie szkolnem. Amnestya za-



Emma Jeleńska-Dmochowska. Iza Moszczeńska.



Leo Belmont.



Bolesław Herbaczewski.



Wiktor Gomulicki.



Antoni Orłowski.



Michał Marczewski.

stała mnie w toku najbardziej wytężonej pracy. Wypuszczono mnie 6 marca.

— A jakie są stosunki więzienne?

— Przykre, bardzo przykre, lepiej nie wspominać. Mogłam wprawdzie przenieść się do Łomży, lecz zrezygnowałam z tego „dobrodziejstwa“, gdyż chciałam być w Warszawie, przy rodzinie.

— Czuje się pani zdrową?

— Niezupełnie, nie mam jednak czasu na chorowanie.

— Czy to poraz pierwszy pani wydarzyła się taka pokuta?

— Nie, lecz nie lubię wspominać przeszłych przykrości.

Z więzienia też wypuszczono p. Rymkiewicza, redaktora „Wiedzy“, pisma robotniczego, klasowego, wydawanego w Wilnie. W Wilnie też umorzono sprawę p. Emmy Jeleńskiej-Dmochowskiej, znanej powieściopisarki. Umorzono sprawę wielu literatom. Do takich należy przede wszystkim pan Orłowski, współredaktor popularnej „Muchy“.

W „Musze“ stale, co tydzień, zjawiały się listy słynnego Połusztannikowa. Otóż w jednym z tych listów, który był zamieszczony w nrze 38 roku przeszłego, prokuratora dopatrzyła się obrazy uczuć rosyjskich. Pociągnięto więc do odpowiedzialności p. Orłowskiego, jako podpisującego humorystyczny ten tygodnik, i to z 129 paragrafu. Dodano przytem punkt szósty, na złagodzenie utrapienia, i wzięto 1000 rubli kaucyi. „Mucha“, rozumie się, przestała wychodzić. Przestały się zjawiać listy rewirowego Połusztannikowa, które przecież były ozdobą szpałt.

Amnestya też dotyczy jubilata-poety, Wiktora Gomulickiego. Prokuratora wytoczyła oskarżenie, mając materiały w jednej z nowel, w której dopatrzyła się szerszenia nienawiści narodowych. Gomulicki przeprowadził sprawę swoją przez wszystkie instancje, lecz nic to nie pomogło. Wyrok, skazujący na rok twierdzy, zatwierdzono. Znany wszyscy działalność pisarską Gomulickiego i wiemy doskonale, że autor „El molle rachim“ nigdy nie propagował hasła nienawiści, zawsze śpiewał hymny miłości i pojednania.

Amnestya uwalnia Gomulickiego od przykrej konieczności i, musimy wyznać, stało się jaknajlepiej, gdyż odsiadywać więzienie w wieku podeszłym nie należy do przyjemności. I to tembardziej, że zdrowie nie dopisuje naszemu mistrzowi słowa.

Do liczby uwolnionych od wyroku należy też młody poeta i dramaturg, p. Bolesław Szczęsny Herbaczewski. Wyrok Izby sądowej skazywał p. Herbaczewskiego na rok twierdzy za przedmowę do tomu poezyi „Otęcz“ Waldemara Jarocińskiego. Prokuratora we wstępie tym dopatrzyła się „wezwanie do zbrojnego powstania“. Na zasadzie tej skazał sąd p. Herbaczewskiego.

Sprawa odbywała się przy drzwiach zamkniętych. Senat zatwierdził wyrok pierwszej instancji.

Oprócz tej jednak sprawy p. Herbaczewski posiada jeszcze inną. Pociągnięty jest do odpowiedzialności ze 1001 paragrafu za obrazę moralności publicznej. Za powód posłużyła niedawno wydana powieść p. t. „Jako bogowie“. Książkę tę skonfiskowano.

P. Michał Marczewski, malarz, dziennikarz i nowelista, dostarczył właśnie Belmontowi okazji do jego gestu, prawdziwie heroicznego, który ściągnął na warszawskiego adwokata karę czterykroć większą za czyn identyczny, aniżeli na warszawskiego nowelistę. P. Marczewski napisał w „Odrodzeniu“ nowelę p. t. „Wir“, w której prokuratora dopatrzyła się obrazy majestatu. Belmont, jak już wiemy, stanął w obronie p. M. i powtórzył w „Wolnem Słowie“ cały inkryminowany ustęp...

— Skazany zostałem na trzy miesiące zamknięcia — mówił nam p. Marczewski, — i karę odbyłem prawie że w całości. Kończyła się ona 10 marca, a wypuszczono mnie na sześć dni przedem. Sprawiedliwość nakazuje mi wyznać, że władze, czuwające nad moim zamknięciem, nie czyniły niczego, coby mi karę robiło tem cięższą, tem dokuczliwszą, tem okrutniejszą. Siedziałem na odwachu oficerskim w Cytadeli i za towarzyszków niedoli miałem oficerów.

Jakie wrażenie pierwsze odniósł p. Marczewski po odzyskaniu wolności?

— Pierwsze, naturalnie, rozkoszy. Ale trwało to króciutko. Muszę panu powiedzieć, skoro pan o to zapytuje, że wzięto mnie do Cytadeli z nowego mojego posterunku pracy, z redakcyi „Narodu“, gdzie dopiero jedną noc był zajęty. Otrzymałem był zapewnienie, iż, wobec takiej *force majeure*, jak moje uwięzienie, nieobecność nie będzie mi liczona, jako porzucenie przezemnie posady. Tymczasem po wyjściu z Cytadeli znalazłem się na bruku...

I z troską głęboką na twarzy opowiadać począł swą przygodę bardziej szczegółowo...

Eustachy Czekalski.

Z teatrów warszawskich.

TEATR LETNI. „Pani prezesowa“, krotchwiła w 3-ch aktach pp. Hennequin'a i Vebera.

Tym razem teatr p. Śliwińskiego powrócił do dawnego repertuaru. „Pani Prezesowa“ jest typową farsą paryską, opartą na dowcipie sytuacyjnym i nieporozumieniach, a której specyficzna właściwość polega na pokazywaniu negliżów kobiecych. I choć „wszystko to już było“ nie w jednym i nie w dziesięciu podobnych utworach, w paryskim *Palais Royal* „*Madame la Présidente*“ świeci w tym roku wielkie tryumfy śmiechu. W teatrze Letnim mniej obudziła wesołości, wykonaniu bowiem brakło życia,

a głównym wykonawcom — humoru. W farsie nie wystarcza dowcip autora: muszą go mieć także i artyści. K.

TEATR MAŁY wystawił 3-aktową komedię: „*Miłość, czy szpada*“, zamilczawszy na afiszu nazwisko i narodowość autora. Nie chcąc popełnić niedyskrecyi, powiedzmy tylko, że sztuka (co zresztą widoczne) jest francuska i nosi w oryginalnym miano: „*Le duel*“. Pomysł nieco groteskowy, ale zreczny. Młody autor, dotknięty osobiście artykułem w piśmie feministycznym, ale podpisanym imieniem męskim, żąda satysfakcyi. Tymczasem autorem jest — kobieta. Walka zatem, jego zdaniem, niemożliwa. Ale ona — nie byłaby feministką — umie robić szpada i chce się bić. Konieczni! Dobrze, mówi młody autor, jeśli do 19 sierpnia, czyli przez kilka miesięcy, nie zmienią pani zdania — służę. Zbyt uczciwa nadmieniać, że feministka jest śliczna i że się w niej przeciwnik na śmierć zakochał. Więc czyni wszystko, aby zmienić zdanie. Nawet angażuje się, jako sekretarz, do wujka swej przeciwniczki, właściciela milionów i jachtu, na którym całe towarzystwo odbywa razem podróż morską. Po wielu trudnościach, które, oczywiście, pokonane zostają zwycięzko, zacięta feministka rzuca się przeciwnikowi na szyję. A był czas, bo stało się to właśnie 18 sierpnia.

Przytem romansik na boku pomiędzy starym i bogatym wujem i młodą artystką-malarką, która, dziwnym zbiegiem okoliczności, miała dawniej dłuższą słabość do młodego autora. Jeśli pierwszy romans doprowadza do rezultatu, bo młodzi ludzie, zamiast bić się na szpady, popełnią rzecz jeszcze ryzykowniejszą: pobiorą się, to drugi kończy się — namysłem na temat: czy nie zrobilibyśmy głupstwa?... Oczywiście, kto się w tym razie namyśla, głupstwa nie popełnia...

Sama fabuła, nieco ekscentryczna, ubarwiona jest mnóstwem delikatnych odcieni, subtelnościami i doskonałym dyalogiem.

W grze artystów w teatrze Małym dowiedzieliśmy się przeważnie tylko o samej fabule. b.



P. Irena Renardówna, młoda artystka dramatyczna, która po udanych pierwszych występach w teatrze Kaz. Zalewskiego przez rok pracowała w Krakowie

pod wytrawnym kierunkiem Ludwika Sol-
skiego, a obecnie, od ubiegłego lata, zaan-
gazowana przez p. Ludwika Sliwińskiego,
coraz baczniejszą zwraca na siebie uwagę
krytyki i publiczności. Niezwykle korzy-
stne warunki zewnętrzne, doskonała szko-
ła i dykcja, wreszcie niewątpliwy nerw
sceniczny zdają się zapowiadać p. Renar-
dównie piękną przyszłość na scenie pol-
skiej.



Teatr Polski.

Świeżo zali-
czona do rzędu
artystek *Teatru
Polskiego* w War-
szawie, p. Nuna
Wiśniarowska
wystąpiła w roli
Warszawianki w
„Nowych Ate-
nach” Nowaczyń-
skiego. Rola tę
odtworzyła p.
Wiśniarowska z
dużym zasobem
wdzięku i inte-
ligencji, ku zu-
pełnemu zado-
woleniu publicz-
ności i prasy.

100-a rocznica urodzin Wagnera.



Pani Karolina
Pietraszewska,
która na koncer-
cie w Sali „Her-
mani Grossman”
wywołała sensa-
cję nadzwyczaj-
ną piękną głosem,
potęgą brzmienia,
wzoru emisją i
głębokim arty-
zmem wykonania.
P. Pietraszewska
okazała się wymar-
zoną interpretatorką
Wagnera, któ-
rego pamięci poświęcony był wieczór
pieśni ku uczczeniu 100-tych rocznicy urodzin.

SPRZEDAŻ, WYNAJEM.  CENNIKI BEZPŁATNIE.

DERENIÓWKA.



F. JANKOWSKIEGO.

PRZECHOWANIE MEBLI
W DOMACH WŁASNYCH
OPAKOWANIE I PRZEPROWADZKI MEBLI
KRAKÓW, PRZEDM. 38, TEL. 11-22
„TWO SYRENA”

Restauracja Hotelu Brühlowskiego
właściciel Jan Szeptycki 6984

40-lecie dziennikarza.

W tych dniach Józef Włoskiewicz obchodził 40-lecie zawodu dziennikar-
skiego, 25-lecie urzędu, jako sekretarz
giełdy warszawskiej, a razem 70-lecie
urodzin.—Zamieszany w wypadki z przed



Józef Włoskiewicz.

50 lat, udał się
zagranicę, prze-
bywając w Wie-
dniu, Dreźnie,
Paryżu i w Tu-
luzie, gdzie stu-
dyował prawo i
ekon. polit. Po-
wróciwszy do
kraju w 1872,
znalazł się naj-
pierw w Krako-
wie, gdzie go
Wołody Skiba
(Wł. Sabowski)
skłonił do zawo-
du dziennikar-
skiego. Znalazł-
szy się, po 10-
letniej tułaczce, napowrót w rodzinnej
Warszawie, był współpracownikiem wszy-
stkich niemal wybitnych pism, gdzie u-
mieszczał sprawozdania ekonomiczne i
finansowe. Otacza go przytem szacun-
ek, przyjaźń i sympatya wszystkich,
którzy go bliżej znają, za jego prawość
charakteru, sumiennosc w spełnieniu o-
bowiązków, oraz wyjątkową serdeczność
i uczynność koleżeńską.

Z teatru lwowskiego.

„Kobieta bez twarzy”, sztuka w trzech
aktach Henryka Zbierzchowskiego.

Tak się nazywa wystawiony w
sobotę zeszłego tygodnia pierwszy
dramat Henryka Zbierzchowskiego,
poety lirycznego, powieściopisarza,
a niemniej bardzo popularnego auto-
ra znakomitych, dźwięcznych i do-
wcipnych piosenek kabaretowych,
znanych i śpiewanych w całej Gali-
cji.

„Kobieta bez twarzy”, to wła-
ściwie dusza bohatera dramatu, au-
tora dramatycznego, Bolskiego. Wy-
stawia on właśnie swój dramat, w
którym „dał całego siebie”. A oto
przychodzi do niego owa „kobieta
bez twarzy” i udowadnia mu, że to,
co dał w swej sztuce, to kabotyzm
nędzny, próżność, nieszczery patos,
marne i bardzo mierne nic, że jego
dramat, jego dusza, jego cała sztuka
— nie ma twarzy. Zmiażdżony
tem odkryciem poeta, zabija się, a w
tej chwili przyjaciele wbiegają z wie-
ścią o wielkim powodzeniu sztuki.

Bolski jest „snobem”, który zja-
łował i zleniwał, ponieważ zbyt ła-
two szło mu wszystko w życiu. Mo-
że niezbyt dużo czuje, ale dużo u-
mie, ma łatwość dyalogowania, wła-
dania lśniącym i elastycznym fraze-
sem. Jest to właściwie człowiek, któ-
ry już zatracił duszę. Ale — czuwa
za niego żona i ona każe mu pisać
i zmusza go do tworzenia, zakochana
w nim i jego wielkości. Więc Bolski
pisze swój dramat i stara się „zrobić
go” jak najpiękniej. I zrobił. Wów-
czas jednak staje przed nim „kobieta
bez twarzy” i bije go — frazesem.

Wykazuje mu całą pustkę jego dzie-
ła, cześć nicość wewnętrzną sztu-
cznie skonstruowanej lalki, a Bolski
nie ma sił do zniesienia widoku swe-
go skarykaturowanego „ja”.

Sztuka napisana jest dobrze, mi-
mo pewne usterki; jest w niej obser-
wacji wiele, dyalog żywy, piękny,
brzmiący dźwięcznymi słowami, jest
ruch, życie i rozmach. Jak na debiu-
tanta, wykazał Zbierzchowski może
aż zanadto dużo gładkości, zręczno-
ści, jakgdyby go to dzieło niewiele
kosztowało. Niemniej — talent to
jest niewątpliwy, a, pogłębiony, mo-
że wydać piękne owoce.

Sztukę grano dobrze, w czym
niema nic dziwnego, jako że na afi-
szu były najlepsze nazwiska teatralne.

Nowy teatr we Lwowie.

P. Czesław Krzyżanowski, długole-
tni prezes i reżyser „Koła dramatyczne-
go” we Lwowie, wpadł na interesujący
pomysł. Oto zorganizował teatr, który
ma kinematografom przeciwstawić praw-
dziwą sztukę. Jego „Teatr Mały” gra
od czwartej po południu do dziesiątej wie-
czorem, a ceny miejsc normowane są
według cen, ustanowionych w kinemato-
grafach, najdroższe tedy miejsce nie ko-
sztuje dwóch koron. Przedstawienia od-
bywają się w pięknej sali w domu Hor-
szowskiego, urządzonej gustownie i z
komfortem.

„Teatr Mały” wystawia same jedno-
aktówki, więc sztuczki dla dzieci, dla mło-
dzieży i dla starszych. Są to rzeczy, od-
powiednio cieniowane. Widzieliśmy już
„Prawo mimikry” Nowaczyńskiego i
„Podpalacza” Hijermansa, jest też jedno-
aktówka, składająca się z króciutkich
scen z życia baletnicy, rzecz zreżna,
wesoła i nie bez pieprzyku. Najwięk-
szym powodzeniem narazie cieszą się
sztuczki dla dzieci i dla młodzieży.

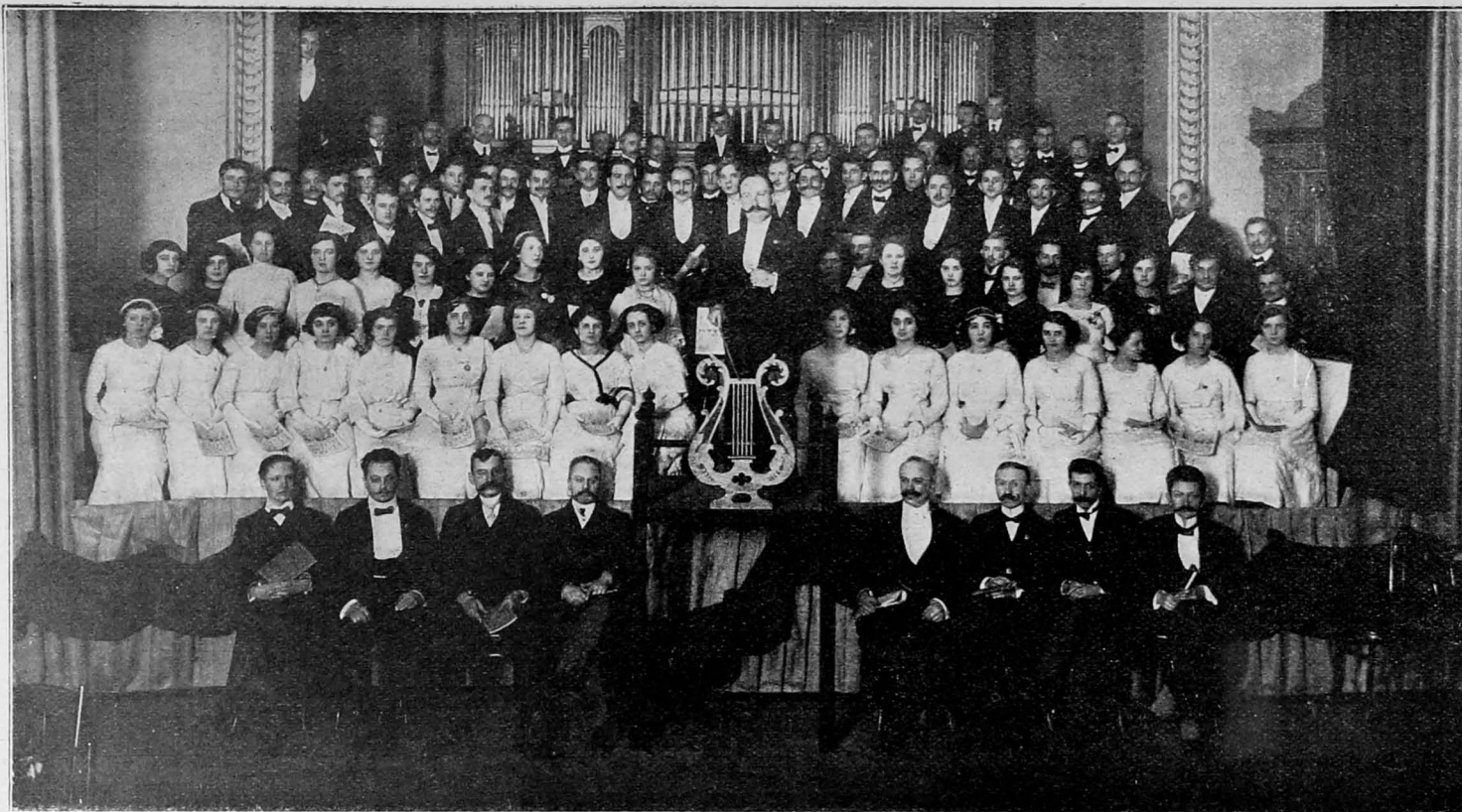
P. Krzyżanowski znany jest we Lwo-
wie, jako doświadczony i bardzo pomy-
słowy reżyser. Trupa jego, grająca bez
suflera, odznacza się wielką karnością,
starannością i pracowitością, mimo, że
składa się z samych amatorów. Są w
niej jednak doskonali aktorzy, a zwraca
ogólną uwagę znakomite wyreżyserowa-
nie scen zbiorowych. Wogóle dążenie do
jaknajlepszego „ensemble” jest dla p.
Krzyżanowskiego obowiązującym. To też
teatr jego cieszy się dużym powodzeniem,
jak i uznaniem krytyki.

Lwów.

jb.



Artyści Teatru Małego we Lwowie.



Fot. L. Zalega w Sosnowcu.

Członkowie sosnowieckiego Tow. Muzycznego z dyr. Stefanem Jakubowiczem na czele.

Oratorium Perosi'ego w Sosnowcu.

Dyrektor Tow. Muzycznego w Sosnowcu, p. Stefan Jakubowicz, wystawił na koncercie religijnym wspaniałe oratorium ks. L. Perosi'ego: „Mekę Chrystusa”, przy udziale chóru wyszkolonego z 200 chłopców, orkiestry Sosnowieckiego Tow. Muzycznego i solistów miejscowych. Na pięknych organach towarzyszył sam dyrektor, odegrawszy nadto z wielkim artystyzmem parę innych utworów. Dzieło to powtórzone na trzech koncertach przy przepelnionej sali, przyjmującej z zapalem świetne wykonanie i dziękującej owacyjnie dyrektorowi za zgotowanie uczty artystycznej, którą nawet miasta stołeczne rzadko oglądają. Za krzewienie śród ogółu sosnowieckiego potężnych dzieł muzyki symfonicznej należy się dyr. Jakubowiczowi zupełne uznanie.

Opera amat. w Częstochowie.

Komedyo-opere Moniuszki p. t. „Loterya”, datująca z pobytu mistrza w r. 1846 na Litwie, wykonały udanie zespoły „Lutni” częstochowskiej pod batutą jej nowego dyrektora artystycznego, p. Stanisława Kazuro. Role solistów wy-

konali: pp. Marya Pietrasiewiczowa, Aleksander Wardein, Feliks Dobrucki, Tadeusz Zwierzyński i Kazimierz Kokular. Dyrektor obecny „Lutni”, o którym pisał już „Świat” w roku zeszłym z okazji jego koncertu kompozytorskiego w Paryżu, odbywszy przedtem kilkoletnie studia muzyczne we Włoszech, zaangażowany został zaledwie przed trzema miesiącami na kierownika „Lutni” przez nowego prezesa jej zarządu, p. Ludwika Bukowskiego. Przedstawienie „Loteryi” będzie powtórzone jeszcze w poście w nowej sali teatralnej, wybudowanej przez Częstochowską Ochotniczą Straż Ogniową.

Wieczerek polski w Londynie.

Dnia 19 lutego odbył się, staraniem Kółka Polskiego w Londynie i jego pre-



Marya Onyszkiewiczowa. Winc. Czerwiński.

zesa, pana Majdewicza, koncert polski, połączony z zabawą i tańcami. Pierwszy ten od lat trzydziestu kilku bal, czy też wieczerek polski w Londynie, był prawdziwie udany. Na koncert złożyły się poważne siły artystyczne: pani Marya Onyszkiewiczowa i pan Wincenty Sznajder-Czerwiński, zaszczytnie już znani za granicą, jako śpiewacy; pani Borowska, pianistka, i panna Trzaska, deklamatorka, jakkolwiek amatorki, do powodzenia koncertu również się przyczyniły.

Koncerty J. Wertheima w Rydze i Warszawie.

Juliusz Wertheim, utalentowany pianista i kompozytor, święcił wielkie powodzenie na koncercie własnym w Rydze. Poetyczne odtworzenie dzieł Szopena, Liszta i własnych wariacji spotkało się z całym uznaniem miejscowej prasy, podnoszącej w gorących wyrazach zarówno stronę wykonawczą, wielce uduchowioną, jak i przymioty twórczości oryginalnej koncertanta, nacechowanej subtelnością uczuciem i wykwinną robotą techniczną. O tych samych zaletach niepospolitego pianisty miała świeżo możność raz jeszcze przekonać się Warszawa na koncercie w d. 12 marca w modnej już dziś sali Hermana i Grossmana. Artysta ten grą, pełną poezji i subtelnych odcieni duchowych, wzbudzał w słuchaczach nastrój głęboki, wsparty nie na przelotnym zachwycie, lecz—co ważniejsze—na dłuższym i trwalszym wzruszeniu.



Juliusz Wertheim.



„Loterya”: kom.-opera St. Moniuszki, wykonana przez zespoły „Lutni” w Częstochowie, pod dyktando St. Kazuro.

Tryumfy Józefa Śliwińskiego w Bukareszcie.

Józef Śliwiński grał w sezonie bieżącym w Bukareszcie. Występ jego wzbudził tam niezwykle entuzjazm. Sala była przepełniona najwytworniejszą publicznością. Nikt jeszcze podobno w Rumunii takiego tryumfu nie święcił. Artysta nasz był podejmowany i fetowany przez ambasadę, ministrów i dwór. Następczyni tronu, która od dłuższego czasu leży chora, zwróciła się do Śliwińskiego z prośbą, by zechciał przybyć do niej. Śliwiński uczynił zadość jej życzeniu. Przybył i został przyjęty w pokoju chorej, gdzie najpierw długo z nią samą i następcą tronu rozmawiał, poczem przysunięto forte-



Józef Śliwiński.

pian do pokoju, w którym leżała chora, i Śliwiński długo grał, czarując swych dostojnych słuchaczy cudnymi melodiami Chopina. Na pożegnanie musiał Śliwiński dać następczyni tronu słowo, że powróci wkrótce do Bukaresztu. Artykułów prasy bukareszteńskiej o Śliwińskim nie można nazwać krytykami; brzmią one wszystkie, jak jeden pean, wypełniony hołdem i entuzjazmami.

Koncert dzieci dla dzieci.



Uczestnicy sekcji muzyki zbiorowej przy Warsz. Tow. Muz. koncertu dzieci dla dzieci i przedstawienia baśni muzycznej Humperding'a „Siedmioro koźląt”, z kierownikami profesorami Łysakowskim i Pomianem na czele.

Fot. Wł. Sztylewskiego.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY POLITYCZNE.

Najważniejszy fakt tygodnia: ogłoszenie nareszcie tylekroć zapowiadanego rosyjsko - austriackiego komunikatu o rozbrojeniach.

Prasa austriacka powitała wyrzutami i krytyką dodatek agencji telegraficznej rosyjskiej, twierdzący, że Austria nie miała żadnych zbrojnych zamiarów wobec słowian bałkańskich.

Ogólne przekonanie panuje, że Austria poniosła rodzaj klęski dyplomatycznej w grze z Rosją. Dowodzi tego choćby fakt, że rząd austriacki nie zaprotestował wobec dodatku do komunikatu.

Odprężenie sytuacji politycznej nastąpiło: rząd austriacki nakazał już rozpuszczanie rezerw w Galicyi.

„Wichrzyciel”. To — Francja, według półurzędowej „Gazety Kolońskiej”, Artykuł ten narobił wielkiej wrzawy.

Mowy króla i premiera angielskiego brzmiały pokojowo, a zwłaszcza zawierały rzeczy, miłe Niemcom.

Następca tronu angielskiego ma przyjechać na dłuższy czas do Niemiec, aby się wprawić w język niemiecki...

Z POLA WALKI.

Strony walczące zgodziły się na pośrednictwo mocarstw europejskich. Bułgarzy uczynili to z ociąganiem się.

Bułgarzy wyznaczili linię graniczną od Rodosto do Malatra. Turcy zostałyby tylko półwysep Galipoli i Konstantynopol.

Serbowie stanęli obok czarnogórców pod Skutari. Ale, wbrew serbom, sprzymierzeńcy ich gotowi są to miasto oddać przyszłej Albanii.

Z NAD NEWY.

Ministrem komunikacji, na miejsce Ruchłowa, ma zostać Niemieszajew, członek Rady Państwa, usposobienia liberalniejszego.

O powrocie do władzy Wittego mówi w Petersburgu. Hrabina Witte była zapraszana na ostatnie uroczystości dworskie.

Minister dworu, Fredericks, ma ustąpić z powodu podeszłego wieku. Na jego miejsce ma być mianowany ks. Koczubej.

Socjaliści wnoszą do Dumy interpelację w sprawie braku pracy w Łodzi. Rząd nie przychodzi temu z pomocą, a gubernator piotrkowski nie pozwala na zawiązanie komitetu robotniczego.

Organizuje się centrum Dumy. Narady się prowadzi między nacyonalistami, październikowcami, duchownymi i włościanami.

Na zjazd działaczy ziemskich i miejskich — nie pozwolono. Pisma rosyjskie nie pojmują powodów tego zakazu.

W komisji budżetowej dumy różne głosy domagają się zniesienia dodatków służbowych urzędnikom-rosyjanom w Królestwie Polskiem, bo tu klimat jest lepszy, a życie tańsze.

SPRAWY SPOŁECZNE.

Odbił się w Warszawie zjazd Kółek Rolniczych. Wykazał duże postępy rolnictwa wśród naszych włościan. Na posiedzeniach chłopcy zabierali gęsto głos i dobrze mówili.

Stu żydom na Bałutach pod Łodzią wytoczono proces o utrzymywanie nielegalnych chederów dla dzieci i nielegalnych bóżnic dla dorosłych.

LITERATURA I SZTUKA.

„Komedienhaus”, jeden z największych teatrów w Berlinie, zbankrutował.

Instytut doświadczalny w Petersburgu dla badania i leczenia choroby alkoholizmu powstanie nad Newą. Skarb daje 400 tys. rub. Materiału nie zbraknie.

Paderewski koncertował w Krakowie. Przyjmowano go entuzjastycznie. Będzie koncertował w Warszawie. Witamy go serdecznie.

Wynalazca 606, Ehrlich, znalazł nowy środek na suchoty. Nie udziela go jeszcze nikomu. Zaprasza lekarzy do Frankfurtu, aby przypatrywali się doświadczeniom.

RÓŻNE.

Na ulicach Rzymu jeden z kontradmirałów pobił dotkliwie ministra marynarki za to, że ten systematycznie a złośliwie szkodził jego karierze.

P. Trejdosiewicz, kierujący budową hotelu „Polonia”, pobił redaktora „Muchy”, p. Buchnera, który sprawę tę skierował na drogę sądową.

30 tysięcy telefonów funkcjonuje już w Warszawie. Pociesza to mieszkańców, nie mających poczty pneumatycznej.

Na 40 milionów fałszywych akcyi kolejowych wypuścić jakiś Wimart w ciągu lat 15. I mieszkał sobie spokojnie we Francji. Teraz dopiero go aresztowano w Reims.

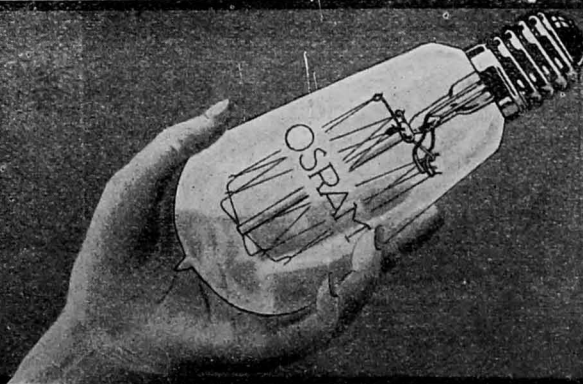


LAMPKA OSRAM

z drutu ciągniętego

Niepękająca

Oszczędność prądu 75%

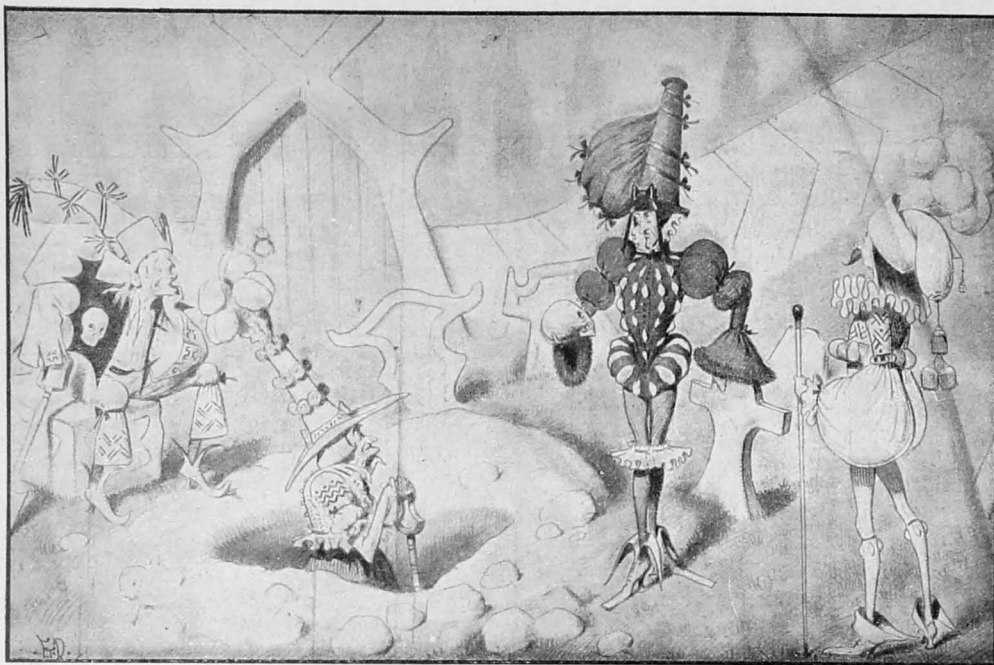


Tylko napis „Osram”

gwarantuje za prawdziwość niepękających lampek „Osram” z włóknem z drutu ciągniętego i tylko ten gatunek cieszy się sławą światową.

Dostać można wszędzie.

Scenerya przyszłego teatru



Jak będzie wyglądał w najbliższej przyszłości, wobec nowych pomysłów symbolicznych i nastrojowych reżyserji, Hamlet na scenie z duchem swego ojca.

Humor i Satyra.

Nieproszeni nauczyciele.

Tańcząc taniec wśród mieczy,
Polak dni lepszych wciąż łaknie,
Tylko do jednej mu rzeczy
Szczęścia — do belfrów nie braknie.

Każdy dba o to, by w głowie
Polak załatać mógł luki,

Stąd różni „mądrzy” mężowie
Dają nam ciągle nauki.

Uczy Winawer z nad Newy,
W czym nasze są interesy,
Nauki daje „mąż lewy”,
Pan Żabotynskij z Odesy.

Kadet, co zmarniał już wszystek,
Treść polityki wyklada,
A byle niemiecki świstek
Nad naszym nieuctwem biada.

Nacyonalista żydowski
Chciałby nas ująć w swą ryzę.

Przyjezdny francuz bez troski
Sypie rad swoich walizę.

Choć dni wśród smutków nam biega,
Lecz to nas trochę weseli,
Ze stale, czego, jak czego,
Lecz nie brak nauczycieli.

Próżno jednakże, jak z procy,
Lecą ze swemi radami;
My bez ich „światłej” pomocy
Będziemy kształcić się sami.

Za kulisami.

— Niech pan sobie idzie, bo pan obra-
ża moje poczucie moralności.

— Jakto? Przecież nic niemoralne-
go pani nie powiedziałam.

— Tak, ale ja nie znoszę widoku...
gołych.

Warszawa się zepsuła.

(Opinia parafianki).

Słyszałam od ciotek, mamy,
Kładły mi to w uszy wiecznie,
Że przyjezdnej chodzić samej
Po Warszawie niebezpiecznie.

Kiedy idzie sama pani
O przyjemnych, gładkich licach,
Wnet ją różni donżuani
Zaczepiają na ulicach.

Może dawniej tak Warszawa
Na płeć piękną była czuła,
Ale dzisiaj inna sprawa:
Widać, ona się zepsuła.

Widać, nie tak już swobodnie
Prowadzi się mężczyzn grono,
Bo ledwie przez dwa tygodnie
Dwa razy mnie zaczepiono!

I w dodatku, moi mili,
Jak to pozór dziś zawodził!
Donżuani ci dwaj byli:
Jeden żebrak, drugi złodziej.

K—c.

Sarg'a

KALODONT

niezbędny Krem i Elikzir do Zębów



ROŚLINNY ŚRODEK
PRZECZYSZCZAJĄCY
a PRZYTEM WZMACNIA-
JĄCY ŻOŁĄDEK.

PRAWDZIWI TYLKO z APTEKI SW. DUCHA w WIEDNIU.

BIEDNY UCZEŃ Szkoły
techni-
cznej kursu II prosi Sz. Czy-
telników o ciepłe pako i buty
gdyż matka wdowa nie jest
w możności mu sprawić. Ofiary przy-
muje nasza Administracja pod W. W.

WODY MINERALNEJ
BORŻOM
NIE PIJA TYLKO TEN
KTO NIETROSZCZY SIĘ
O SWĘ ZDROWIE

**1^{szy} WARSZAWSKI ZAKŁAD
TECHNICZNO — DENTYSTYCZNY**

Marszałkowska 51. Tel. 283-62.
Zęby sztuczne wszelkich systemów. Od rb.
1 ząb. Korony. Przyjezdny w ciągu dnia.

Fabryka Kapeluszy damskich
= oraz Piór fantazyjnych =

I. KACEW

(Ofuga № 50 obok Hotelu „Passaż”)

Poleca NA SEZON NADCHODZĄCY OSTATNIE NOWOŚCI

Pilla I Pasaż Simonsa sklep № 15 Pilla II Wierzbowa 3 obok Kuriera Porannego.

Ceny fabryczne — stałe.

7405

Najlepsze amerykańskie maszyny do pisanja

ORYGINALNE

„UNDERWOOD“

od 12 lat

Z WIDOCZNYM PISMEM



Wyłączny Przedstawiciel:

G. GERLACH

Warszawa, Czysła № 4.

Warszawskie biuro podróźnicze

W. Jeziorański, dawniej Endler i Horny,

przeniesione z Placu Saskiego № 5 na ul. Nowo-Sienną № 2a,
w gmachu Tow. Ubezp. „Rosya”.

Telefon № 430, — adres dla depeesz: „Hapag”.

Z każdym rokiem rozwija się u nas coraz bardziej nadzwyczaj przyjemny, pożyteczny i zdrowy sport — turystyka. Lecz dotychczas przeważnie udawano się w podróż chaotycznie, bez żadnego zgóry nakreślonego planu, co pociągało za sobą zarówno zwiększenie kosztów, jak i nie dawało tej sumy przyjemności, jaką osiągnąć z podróży można było. Znaczna ilość osób nie wiedziała o tem, że istnieją specjalne biura podróźnicze, zadaniem których właśnie jest układanie planów podróży, ażeby przy odpowiednim kombinowaniu pociągów dać możność podróży osiągnięcia odpowiedniej, jaknajwiększej sumy wrażeń, przy stosunkowo jaknajmniejszej sumie wydatków. Każdemu z podróźnych biuro takie w zupełności nakreśla plan jego podróży, wskazuje pociągi i miasta, w których należy dłużej się zatrzymać, a przytem, pozostając w ciągłych stosunkach z zarządami kolei zagranicznych, jest w możności biletów t. zw. okólnie odstępować taniej.

Zwrócić przytem należy uwagę na tak mało u nas stosowane, a nadzwyczaj przyjemne, higieniczne i stosunkowo niedrogie wycieczki morskie. Za jednorazową opłatą, w którą już wliczone są koszty wraz z wykwintem utrzymaniem i pobytem na statku, urządzonym z komfortem, każdy ma możność odbycia dłuższej lub krótszej wycieczki, stosownie do życzenia, przyczem podróż ta kosztuje taniej, niż podróż kolejną.

Niewiele osób wie o tem, że i w Warszawie znajduje się specjalne biuro podróźnicze, które sobie za cel postawiło udzielanie klientom swoim wszelkich najróżnorodniejszych wskazówek i objaśnień.

Orientowanie się w komunikacji, oraz wybór najdogodniejszych szlaków i pociągów przedstawia dla doświadczonych nawet podróźników pewne trudności, dla mniej zaś doświadczonych staje się zadaniem bardzo trudnym i skomplikowanym.

Dla każdego więc turysty, udającego się w podróż za granicę, wskazaniem jest udanie się po poradę do Biura Podróżniczego, które posiada wszelki materiał informacyjny, oraz długoletnie doświadczenie.

Czynności Biura dzielą się na: a) podróże lądowe, a więc biuro wydaje bilety kolejowe na przejazd z Warszawy, oraz stacji pogranicznych do wszelkich znaczniejszych zagranicznych miejscowości, w formie książeczek kuponowych, o bardzo długich terminach, dzięki czemu podróźający za nimi nie podlegają ograniczeniom, wynikającym z krótkości terminów, ustanowionych dla zwykłych biletów, wydawanych przez kasy kolejowe. Bilety te mogą być niekoniecznie zestawiane w linii prostej, przeciwnie, mogą być w zupełności zastosowane do szlaku, wskazanego przez podróźnego, przyczem część przejazdu odbywać się może w je-

dnej klasie, a część w drugiej, co stanowi dla podróźnych wielkie udogodnienie.

W biurze podróźniczym dostać można bilety okólnie, międzynarodowe (Rundreisehefte, billets circulaires), zestawiane według dowolnych szlaków, przez podróźnych ustanowionych, jak również specjalne typy biletów, np. abonamenty szwajcarskie, karnety hiszpańskie kilometryczne i inne.

Do zadań biura należy również rezerwowanie miejsc numerowanych i sypialnych w pociągach zagranicznych, oraz wynajmowanie na żądanie oddzielnych przedziałów, jak i całych wagonów dla rodzin i towarzystw.

Drugim działem czynności Biura kolejowego są podróże morskie. Każdy, dużo podróźający wie z doświadczenia, że o ile zabezpieczenie miejsca w pociągach kolejowych jest pożytecznem, o tyle niezbędnem jest przy podróżach morskich, zwłaszcza na parowcach, odpływających w znacznych odstępach czasu, jak np. raz do czterech razy na miesiąc. Wielkie znaczenie dla podróźnych posiada również trafny i odpowiedni wybór linii żeglugi oraz statku.

Biuro podróźnicze, jako reprezentant najpoważniejszych przedsiębiorstw żeglugi, rezerwuje kajuty i wydaje karty na przejazd na parowcach, odpływających z wszystkich znaczniejszych portów Europy, ściśle po cenach oryginalnych, jako to: a) do portów Dalmacji, Grecji, Egiptu, Palestyny i Syrii, jak również na koleje egipskie i statki turystyczne po Nilu;

b) do portów wschodniej Afryki, Indyi, Cejlonu, Chin, Japonii i Australii;

c) do znaczniejszych portów morza Śródziemnego, jak np. Tunisu, Algeru, wysp Balearskich, oraz portów hiszpańskich;

d) do wysp Kanaryjskich, Madery, oraz portów zachodniej i południowej Afryki;

e) do fiordów norweskich i portów północnych;

f) do południowej Ameryki, a mianowicie do portów brazylijskich, argentyńskich oraz zachodniego wybrzeża;

g) do portów na Antylach, oraz Meksyku i środkowej Ameryki;

h) do Nowego-Jorku, Philadelphii, oraz portów Kanadyjskich.

Na wszystkie linie powyższe biuro wydaje karty okrętowe, wyłącznie na przejazd w kajutach; kart na przejazd w międzypokładzie (emigracyjnych) biuro zupełnie nie wydaje.

Trzecim działem czynności biura podróźniczego są wycieczki morskie. Najnowszy i coraz bardziej rozpowszechnia-

Zasadniczo różnią się one od podróży na zwykłych statkach pasażerskich, jacy się sposób podróżowania dla przyjemności i wypoczynku, usilnie zalecany przez największe powagi lekarskie.

tem, że odbywają się na specjalnie do tego użytku zbudowanych jachtach, tak zwanych hotelach pływających, a ich rozkłady jazdy zastosowane są wyłącznie do celów turystycznych.

Dzięki temu, postoje odbywają się tylko w miejscowościach godnych zwiedzenia, a trwanie tych postojów stosuje się do czasu niezbędnego dla dania uczestnikom możności odbycia niezbędnych lądowych ekskursji. Wycieczki te przytem dają sposobność do dłuższego przebywania na morzu, a biorąc pod uwagę, że w ogólnej cenie uczestnictwa zawarty jest koszt za przejazd, mieszkanie i wytworne utrzymanie, wycieczki te kalkulują się taniej od podróży lądowych.

Programy tych wycieczek, jakkolwiek różnią się corocznie w szczegółach, pozostają jednakże w ogólnych zarysach prawie bez zmiany, i tak w sezonie wiosennym zwiedzane są przecudne w swej krasie wybrzeża i porty morza Śródziemnego i Adryatyku; w czasie znojnego lata przyjemne i orzeźwiające fiordy norweskich, porty szkockie, Islandya, mroźne wybrzeża Spicbergu i t. p., w jesieni zaś porty angielskie, francuskie, portugalskie i hiszpańskie. W ciągu zimy odbywają się dwie wycieczki naokoło świata.

Programy tych wycieczek, jak również i wszelkie bliższe informacje, pragnący udać się na nie otrzymać mogą z biura podróźniczego natychmiast po ustaleniu terminów i postojów.

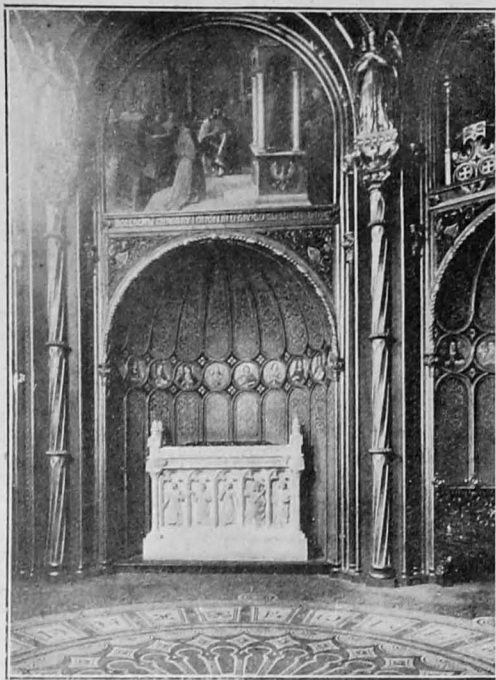
Do zakresu działalności biura należy również organizowanie i przewodniczenie wycieczkom zbiorowym na zlecenie korporacji, stowarzyszeń i wogóle większych lub mniejszych grup osób, udających się za granicę w celach zgóry określonych. Biuro organizuje również zbiorowe wycieczki na własny rachunek, lub też w porozumieniu z zagranicznymi biurami turystycznymi.

Na zakończenie dodać należy, iż biuro zajmuje się dostarczaniem prospektów i broszur znaczniejszych miejscowości kąpielowych i klimatycznych zagranicznych, sprzedają Baedekerów, Guidów etc., oraz opracowuje programy i kosztorysy podróży za umiarkowanym wynagrodzeniem, a posiadając licznych korespondentów w różnych częściach kuli ziemskiej, podejmuje się wogóle wszelkich zleceń, w zakres turystyki wchodzących.

Każdemu też, mającemu zamiar udania się na wycieczkę turystyczną, radzimy przedewszystkiem zwrócić się o poradę i wskazówki do biura podróźniczego W. Jeziorańskiego, Nowo-Sienna 2a, a napewno jaknajszczegółowiej i jaknajlepiej poinformowanym zostanie. kr.



Złota kaplica.



Złota kaplica w tumie poznańskim, zawierająca prochy oraz pomniki pierwszych królów polskich: Mieczysława i Bolesława, została obecnie starannie odnowiona. W sarkofagu mieszczą się także resztki starożytnego posągu, który stał niegdyś w środku archikatedry. Nad grobowcem umieszczony jest obraz E. Brzozowskiego: „Bolesław Chrobry i Otton III u grobu św. Wojciecha”, naprzeciw, nad odlewami brązowymi modeli Raucha płótno J. Suchodolskiego: „Mieczysław I kruszy bałwany”.

Z Kalotechniki.

Nr. 91. Wiadomem jest, że przyszcze i wągry na twarzy powstają z nieprawidłowych funkcji gruczołów łojowych, masaż więc wibracyjny będzie tu najpewniejszym środkiem leczniczym, dającym znakomite rezultaty. Lecz wągry, tkwiące w skórze, trzeba koniecznie przedtem usunąć mechanicznie, a po usunięciu wągrów ściągnąć się i rozszerzone pory. Usuwanie wągrów oraz masaż wykonywa umiejętnie dyplomowana masażystka w Kalotechnice.

Poradnik higien.-kosmetyczny.

Dbaj o zęby.

Towarzystwo higieny praktycznej im. Bolesława Prusa wydało 10 przykazań higienicznych dla dzieci, gdzie na drugim miejscu postawiło następujące przykazanie: Płucz usta i czyść zęby szczoteczką rano i na noc. Przykazanie to winno być wywieszane na pierwszym miejscu we wszystkich zakładach naukowych, z tem uzupełnieniem, że do czyszczenia zębów winno się używać preparatów „Tlenolu” (krem, proszek i eliksir), sporządzonych według przepisu d. ra Napoleona Cybulskiego, prof. Wszechnicy Jagiellońskiej. Przetwory te nie tylko że znakomicie dezynfekują zęby i jamę ustną, ale i

ce. Zakład ten jest wyłącznie pod kierunkiem lekarskim i wszelkie zabiegi prowadzone są sumiennie i naukowo.

Nr. 1. *Prenumerat. „Świata” w Berlinie.* Dla zjedrnienia ciała zalecić możemy masaż ogólny, gimnastykę oraz zastosowanie za poradą lekarza kuracji hydropatycznej. W tak młodym wieku zanik elastyczności skóry musi pochodzić z przyczyn wewnętrznych.

Nr. 8. *Cudzoziemka.* Prosimy zastosować do siebie odpowiedź Nr. 91.

konserwują je, ponieważ, nie zawierając mydła, nie działają szkodliwie na emalję.

Krem mitinowy.

Zbliżająca się pora wiosenna, łączona bezwzględnie z ostreimi wiatrami, nieraz nawet mroźnemi, oraz ciągłymi a raptownymi zmianami temperatury, nader szkodliwie działa na cerę. Każdej też z pań, dbającej o cerę swoją, zalecić możemy znakomity preparat, nie tylko wyśmienicie ochraniający cerę od wpływów wiosennego powietrza, ale i konserwujący ją. Jest nim krem mitinowy, preparat, nie zawierający żadnych pierwiastków szkodliwych. Znakomite daje wyniki wcieranie go w skórę twarzy i rąk na wieczór lub rano. Znakomicie również służyć może jako podkład pod puder. Pod każdym wzglę-

pograżając w nieutulonym żalu siostrę i rodzinę, zostanie w ich sercach nigdy niezagojoną raną.

ŻAŁOBNA KARTA.

Ś. p. Helena z Fergüssów Podbereska.

W dniu 27 lutego r. b. umarła po długich cierpieniach w majątku Muśnikach Helena Podbereska. Urodzona w



miłości bliźniego, tak że je doskonałemi prawie mienić trzeba. Uczucie Jej kryształicznej czystości, słodycz i wyrozumiałość wzbudzały głęboką cześć w najbliższym i dalszym Jej otoczeniu. Zgon Jej,

Ś. p. Józef Rostkowski,

urodził się w Warszawie w roku 1863.



Po ukończeniu szkół odbył praktykę zawodową w zakładzie p. Borawskiego, poczem założył w Warszawie w roku 1892 swój zakład artystyczny — złotniczy. Ś. p. Józef Rostkowski zastąpił jako wytwórca wysoce artystycznych i wykwintnych robót w swojej specjalności, — pra-

ce jego szły daleko poza Warszawę i kraj i mogły śmiało konkurować z najpiękniejszymi robotami zagranicznymi. Zmarł w dniu 18 lutego r. b.

Treść № 12 „Świata”.

Obrona narodowej pracy. Dr. Leopold Caro. Rzeźba polska. (Z 8 il.) Słostaw. „Młodość panny Mani”. (Z 1 il.) Realizm we współczesnej literaturze polskiej. Savitri. Smutny jubileusz. (Z 4 il.) Wiktor Gomulicki. 90-a rocznica urodzin T. Jeża. (Z 1 il.) A. Pawłowski. Miasto zamieszkałe przez samych polaków. (Z 4 il.) Ss. Nowoprojektowane państewko. (Z 1 il.) H. Zgon wybitnego historyka. (Z 1 il.) O kościół w Błoni. (Z 19 il.) Na wolności... (Z 7 il.) E. Czekalski.

Z teatrów warszawskich. (Z 2 il.) b. 100-a rocznica urodzin Wagnera. (Z 1 il.) 40-lecie dziennikarza. (Z 1 il.) Z teatru lwowskiego. (Z 1 il.) j. Oratorium Perosi'ego w Sosnowcu. (Z 1 il.) Opera amat. w Częstochowie. (Z 1 il.) f. Wieczorek polski w Londynie. (Z 2 il.) Koncerty J. Wertheima. (Z 1 il.) Tryumfy Józefa Słowińskiego. (Z 1 il.) Najważniejsze wypadki minionego tygodnia. Humor i Satyra. (Z 1 il.) Krogulec. Warszawskie biuro podróźnicze. kr. Złota kaplica. (Z 1 il.) Żałobna karta. (Z 2 il.)

ODDZIELNE ILUSTRACJE:

Koncert dzieci dla dzieci.

Nr. 9. *St. W. Klawiol.* Oprócz tego co tydzień robić *pédicure*.

Nr. 16. *Piegi i żółte plamy* usunie napewno krem d-ra Orgley'a. Kremem smarować twarz na noc, rano wytrzeć twarz płynem Vesta. Włosy dla zbadania przysłać trzeba do Kalotechniki. Analiza kosztuje rb. 3. Lekarz, po zbadaniu, zaleci odpowiednie środki. Przyjęcia lekarskie w Kalotechnice codzień od 4 — 6. Listy prosimy adresować: Marszałkowska 116, telef. 16-73. Na wszelkie pytania odpowiadamy bezinteresownie.

Zarząd Kalotechniki.

dem jest lepszym od przeróżnych gold-cremów i innych preparatów, zawierających ołów, tak szkodliwy dla cery.

Idealny puder.

Na nazwę taką w zupełności zasługuje znakomity preparat kosmetyczny angielski, nieocenione usługi oddający paniom. Jest to tak zwany *Papier Poudre Ltd.* — Papier pudrowy w książeczkach. Każda z pań, dla której noszenie puderniczki i puszek jest bardzo uciążliwym, napewno odda sprawiedliwość temu znakomitemu wynalazkowi. Bo czyż może być coś doskonalszego nad miniaturową książeczkę, o całym szeregu cieniutkich kartek, z których każda, rozarta na twarzy przy pomocy chusteczki, okrywa ją cienką warstwą wyborowego pudru.

Dr. M. D.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok V.

Warszawa, dnia 22 marca 1913 roku

Nr 12.

Alfred Konar.

(Wszelkie prawa przedruku
i przekładu zastrzeżone).

Młodość panny Mani.

Powieść.

I.

— Pamięta mama, że nie miałam nic przeciwko temu — dowodziła coraz wymowniejsza z biegiem lat pani Ziuta niemiłym tonem, jakim zaszczycą się jedynie najbliższych w sam na sam, kiedy nie trzeba bawić się w ceremonie — żeby Mania zastępowała czasowo w redakcji swoją przyjaciółkę, Lolę; ale zupełnie nie zgadzam się na concept przyjmowania stałej posady korektorki redakcyjnej.

— O! „Nie zgadzam się!“ Jeżeli nie masz bardziej przekonujących argumentów... — ironizowała lekko podrażniona panna Mania.

— Nie jestem taką wyrocznią, jak ty. Mówię jedynie, co mi serce dyktuje.

— Serce nie jest żadnym autorytetem.

— Naturalnie! — mówiła dotknięta pani Ziuta, która, poza swoim nietaktem, była rzeczywiście po swojemu przywiązana do rodziny. — Cóż znaczy zdanie prostej kobiety, nie znającej osobiście ani Sienkiewicza, ani Żeromskiego? Może u was, literatek, pogarda dla rodziny jest w modzie; lecz w naszym świecie należą się pewne względy siostrze zamężnej i dietnej, będącej w dodatku gościem twojej matki.

— Moja Ziuto! — przerwała nie lubiąca drażliwych kwestyi pani Sokołowska — wiemy, że kierujesz się zawsze najlepszymi chęciami; lecz to są dopiero przedwczesne projekty, o których podebatujemy jeszcze kiedy indziej.

— Czemu nie teraz? Wiem, że szczerść w obecnych czasach nie popłaca; lecz to zupełnie nie zmienia moich przekonań i nie zwalnia z obowiązku mówienia tego, co myślę.

I ojciec, gdyby żył, nigdyby się na to nie zgodził. Gdzieindziej panny dłużej jeszcze, niż ty, zamaż nie wychodzą, a nie kwitują rozpaczliwie z możliwości zamażpójścia — dotknęła po swojemu pięty Achillea siostry.

— To są moje sprawy osobiste — syknęła czerwona, jak piwonia, panna Mania, — do których zabraniam komukolwiek wtrącać się. Czy ją narzucam ci zdanie co do prowadzenia twoich dzieci?

— A propos twoich dzieci — przerwała, przewidując burzę, pani Sokołowska, — czy Jurek przestał już kasłać?

— Różne są usposobienia i charaktery — nie odpowiadała matce bardzo już podniecona do walki pani Ziuta. — Ja mogę was wcale nie obchodzić; a pomimo to, wszystko, co was się tyczy, nie przestanę interesować mnie nigdy. Nie umiem wiesznie politykować; wiem, że jestem porywczą, lecz mam serce, którym żyłam i z którym umrę.

— Kwituję ludzi z ich dobrego serca, z dotknięcia grubych ich rąk i z szewskiej miary, jaką mierzą wszystkich podług własnego wąskiego rozumu. Nie chcę być, jak inne, jedynie panną na wydaniu, oczekującą z założonemi rękami konkurenta. Chcę zdobyć sobie stanowisko, być człowiekiem.

— Naturalnie! człowiekiem, a nie taką głupią gęsią, jak twoja siostra. Pamiętam doskonale, że czułaś zawsze pogardę dla mego umysłu — przerwała sarkastycznie nie wątpiąca nigdy o swoim wielkim rozsądku pani Ziuta. — Cóż z tego, kiedy my głupie wszystkie za męża wychodzimy, a wy, mądre, potraficie jedynie

zazdrościć nam i mężów naszych bałamucić.

— Ależ, Ziuto, — ujęła się matka, którą córka niezamężna bardziej obchodziła, niż starsza z ustalonym już losem. — Masz, doprawdy, taki dziwny sposób mowy...

— To są jej objawy szczerści i dobrego serca — wykrztusiła ugodzona w rozognioną ranę panna Mania — z tą hamowaną nienawiścią, jaką ukrywa się nieraz w sercu dla najbliższych.

I ze ściśniętem gardłem wybiegła do swego pokoju, z którego więcej już dziś nie ukazała się.

Po jej wyjściu pani Ziuta bez śladu nerwów, zapomniawszy o siostrze, rozwijała, jakgdyby nic się nie stało, inne nici swoich żalów do świata i do ludzi z gadatliwością zniszczonej po czworgu dzieciach, zwiędłej, zapuszczonej, nudnej blondyny, nie mającej nic wspólnego z powabną jeszcze przed kilkoma laty, szykowną warszawianką.

W tych sążnistych, nie kończących się nigdy żalach okazywali się winnymi egoistami bez serca i głupcami wszyscy, z wyjątkiem — rzecz prosta — jej samej.

Posiadała jakby monopol na rozum, dobre serce i na słusność w każdej sprawie. I ten brak samokrytycyzmu, z łączącym się z nim brakiem wyrozumiałości dla wad bliźniego — sprawiała jej męki Tantala. Rzecz prosta, iż czyniła męża odpowiedzialnym poniekąd za te wszystkie przewinienia, które jedynie ją w życiu spotykały, ponieważ *gdzieindziej* (uлюбione jej wyrażenie) wszystko szło lepiej.

To wyrwane niewiedomo skąd „gdzieindziej“, nie zaobserwowane, lecz wyśnione, którym niemal każde zdanie rozpoczynała — było urojonem jakimś miejscem na księżycu, gdzie służba nie okradała, lekarstwa wszystkie skutkowały, krawcowe dotrzymywały słowa, a mąż nie miał dla żony żadnych tajemnic. Bo obecnym leitmotivem, od którego zaczynały się i kończyły te wszystkie pretensje jej do świata, stały się a-

mory jej męża, Niutka, który w wyobraźni, wyegzaltowanej zawiścią zazdrosnej żony, wyrastał do potęgi demonicznego Donjuana lub Sino-brodego.

— Gdzieindziej mężowie mają w głowie amory jedynie wtedy, kiedy posiadają na to czas i odpowiednie renty. Niechby sobie założył cały harem — ujmowała się we własnym przekonaniu bardzo rozumnie za krzywdę swych dzieci, — lecz majątku moich córek marnować nie pozwolę.

— Twoje wieczne obawy o majątek — to najfałszywszy argument — ujęła się trzeźwo matka. — Nie wniosłaś mu posagu, opływasz z dziećmi w dostatku; a i klientela jego stale się powiększa, więc i o przyszłość obawy nie masz.

— Więc, podług mamy, on ma słuszość, marnując swoje zdrowie, swój czas, swoją opinię na kochanki? Dlatego, że ja posagu mu nie wniosłam? Doskonale! — tryumfowała ze swoim niby przemądrzałym a nie mądrym, irytująco sarkastycznym uśmiechem.

— Z tobą nie można logicznie argumentować. — Zamilkła dyplomatycznie stara, a przez myśl jej przeleciało, że gdyby Niutek nie miał serca tak łatwo zapalnego, możeby i Ziuty nie zaślubił; i musiałaby teraz wraz z Manią za 20 rubli na miesiąc do redakcji biegać!

I córka, czytając w jej myślach, buntowała się przeciwko jej milczeniu:

— Ja nie jestem Manią. Dałabym sobie w życiu radę bez niego. W tym dostatku straciłam przy nim młodość i zdrowie. A nie wiem, czy biegać cały dzień za lekcyami jest gorszym, niż użerać się ze służbą, z pralnią i, kaprysami dzieci i męża-rozpustnika. Mama twierdzi, że jego winy są niedowiedzione i że on jest idealnie dla mnie dobrym. Oto list, który wczoraj otrzymał od tej swojej pacjentki z Podola, w którym zwierza mu się ze wszystkich chorób i nazywa go swoim aniołem opiekuńczym.

— Otworzyłaś list, adresowany do niego? — załamała ręce matka.

— Naturalnie; Kazia, która ma przecież dopiero cztery lata, jest tak mądra, że od razu powiedziała: „To list od kochanki tatusia“. Usłyszał to, bo wszedł właśnie wtedy do pokoju. Trzeba było mamie widzieć wściekłość tego idealnego męża i ojca. Gdzieindziej ojcowie nie rzucają się na własne dzieci. Szczęściem, żem Kazię wyprowadziła z pokoju; byłby ją poszarpał. To nie ten dawny, sympatyczny student; to pasjonat, impetyk, brutal. Ja się go nie zlekłam; oświadczyłam mu wszystko, co o nim myślę. Wątpię, czy wiele usłyszał w swoim życiu podobnych komplementów. Aż się za głowę uchwycił.

Pani Sokołowska, uważając w swojej logice kobiety taktownej, że ani argumentacje, ani sceny jej za-

dnego celu nie osiągną, zamknęła usta na cztery spusty, aby jednym słówkiem nie wybuchnąć. Westchnęła tylko bardzo ciężko w swojej manierze wdowy, która i tak żyć już długo nie będzie, a dla której z chwilą śmierci męża i tak wszystko się już skończyło.

Pani Ziuta zrozumiała to milczenie i ze szczerością płytkiego kobiecego umysłu — buntowała się niepolitycznie przeciwko myślom, za które, podług utartego kodeksu, nie odpowiada się.

— Mama sądzi, że on tego nie czuje, iż nawet moja własna rodzina uważa jego lotrostwa za objawy zupełnie normalne.

— Uważam za bezcelowe walkowanie spraw, na które rady niema.

— Innemi słowy, powinnam sama jeszcze poprawiać poduszki, aby pacjentkom było wygodniej, i pilnować drzwi, aby przy tych auskultacjach nikt mu nie przerywał. Czy tak?

II.

— „Wy, mądre, potraficie jedynie zazdrościć nam i mężów naszych bałamucić“.

Ukłuta temi słowy, niby jadem żmii, nad wyraz boleśnie, w samo serce, rzuciła się panna Mania bezsilna, chora na łóżko.

— Nędznica! — wzdygnęła się na myśl o siostrze.

— Gdyby go prawdziwie kochała, cierpiąc, wybaczałaby mu wszystkie jego winy. Nie kochając, nie ma prawa go oskarżać.

Była przekonana w tej chwili, iż nienawidzi siostrę z całego serca; miała ku temu bardzo ważne i bardzo uzasadnione powody; czyniła ją odpowiedzialną za nieszczęścia całego swego życia.

Rozejrzała się po swoim ciemnym pokoju: lampa z sąsiedniej jadalni rzucała jasny refleks na dywan, jaśniejący, jakgdyby był ze skóry białego niedźwiedzia, złociła żółty parawanik przed piecem i brylancila szyby biblioteczki.

I te świetlane fale złota, wylaniające się z ciemnej szarzyzny, uderzały boleśnie w chore jej skronie poszumem odległych wspomnień, odbierały jej przytomność, wprowadzając w przykry trans, potęgowany monotonnym odgłosem drażniących ją bredni pani Ziuty, która zawodziła wciąż wkońko:

— Czyni mnie odpowiedzialną za chorobę dziecka, które przez dwa tygodnie trzymałam w łóżku z powodu wysokiej gorączki, własnoręcznie przezemnie konstatawanej codziennie za pomocą termometru. Czyż moją winą było, iż okazało się następnie, że termometr był zepsuty? Przecież on, jako lekarz, powinien był prędzej to odgadnąć!

— Te, te, te... te, te, te... — dudnił kołowrot bez końca.

Panna Mania pochwyciła się za zboląłą głowę. Całe życie stanęło jej przed oczami:

Tak. Zazdrościła siostrze. Tak. Kochała szwagra przerażająco wielką miłością. I tu, wśród czterech ścian ciemni swego pokoju, drży na samą myśl, że ten cały kwiat miłości, rosnący z rzuconego, oł, figlem wiatru ziarenka, rozkwitający z wiosennym słońcem w mały, blade, niewinny pączek, przemieniony wreszcie w ogniasty kwiat — mógł pożogą przepalić i zniszczyć do szczytu całe jej życie!

Pograżała się z lubością w różowy haszysz dawnych z przed laty wspomnień: Było to jeszcze za życia ojca.

Kiedy Ziuta skończyła pensję, postanowiono według mody, wchodzącej już wtedy do domów zamężnych, aby zdała na patent nauczycielski, mogący przydać się na czarną godzinę nawet „pannie z domu“, córce lekarza z praktyką, prowadzącego dom na pewną stopę, trzymającego konie, spędzającego z całym domem lato w Zakopanem, spotykanego w loży na premierach w Rozmaitościach z żoną, rautującą, kwestującą i kiermaszującą.

Do egzaminu w języku urzędowym podjął się przygotować z porady zaprzyjaźnionej z całym domem dalekiej biednej krewnej Loli Jabłońskiej student medycyny, Niutek Pławiński.

Dla przyzwoitości, aby uniknąć sam na sam młodego korepetytora z panną, dodano mu, jako drugą uczennicę, o kilka lat młodszą od siostry, 14-letnią Manię...

Pamięta to wszystko najdokładniej, jakby się to dziś stało...

Miała wtedy w domu wobec dystygowanej, harmonijnej w proporcjach, liniach i ruchach i przystojnej 19-letniej panny Ziuty opinię koczaczka, podlotka, z czerwonymi rękami, z niedbałą fryzurą, z humorem i wiecznymi conceptami—istnego enfant terrible.

Czuła doskonale, że ani siostra, ani pan Niutek nie są zadowoleni z pomysłu tej asysty. A panna Ziuta wprost zakonkludowała:

— U nas w domu panuje jeszcze najkompletniejsza chińszczyzna. Należałoby jeszcze, jak w haremach, trzymać eunucha.

— Ty myślisz, że bardzo bawi mnie ten twój korepetytor od siedmiu boleści? — wzruszała ramionami panna Mania.

I faktycznie, wołała swoje stare nauczycielki, ponieważ przyznawała wtedy jawnie i szczerze wobec zagadkowo hamowanych uśmiechów, słuchaczy iż mężczyźni nie cierpi.

A owa zagadkowa sympatyczna ironia starszych potęgowała jeszcze tę jej pogardę dla mężczyzny, z którą, czując, iż ma powodzenie, wkońcu aż manierowała się już zbyt oficjalnie.

Lecz faktem było, że ten niebieskooki, zaniedbany, olbrzymi, barczysty, niezbyt zgrabny, choć przystojny jasny blondyn z mięsistymi

wargami i wiecznie gorącymi ogromnymi rękami — był jej stokroć bardziej obcym, niż najniesympatyczniejsza nauczycielka.

— Dlaczegoż ci się nie podoba właściwie ten twój nowy korepetytor? — badał swoją ulubienicę z zachowanym uśmiechem ojciec.

— Dlatego, że ja niecierpię takich obrzydliwych wąsów. Takie, jak tatuś ma, siwiutkie, jak mleko, gęste — to rozumiem. Ale wargi, obrosnięte takim małym, jasno-żółtym włosom — brr.

Wszyscy dokoła niej śmieli się do rozpuku; tylko Ziuta uważała tę zachętę starszych do podobnie bezsensownych rozmów za zupełnie niewłaściwą i wstrząsała ramionami:

— Wiesz, Maniu, nie pojmuję, co za uciecha stawać się pośmiewiskiem ludzi. Pleciesz, jak Piekarski na mękach.

A panna Mania, zgrywając się w swojej popisowej roli, wysilała się rzeczywiście, aby zalać za skórę onieśmielonemu w swoim wytartym mundurku korepetytorowi, któremu imponowały te panienki z dobrego domu, ten duży apartament, sława lekarska ojca i cały wielkopański tryb ich życia.

Śmiały na swoim czwartaku, odwiezianym nazbyt często przez chichoczące sąsiadki z korytarza, bardzo w modzie u tych wszystkich młodych szwaczek i dziewczyn bez określonego zajęcia, uważających go, pomimo chronicznie pustej kieszeni, za królewicza, któremu opierać się nie warto, bo nie można — nie umiał trzech zliczyć wobec swoich uczniów; i, wiecznie zawstydzony, jak pensjonarka, i zaczerwieniony, jak kandydat na nagrodę Montijona, był przeświadczony — pomimo swoich studiów fizjologii — że panienki są zupełnie z innej gliny ulepione, niż dziewczyny.

I panna Mania, wyczuwając swoją przewagę królowny nad słabym niewolnikiem, tryumfowała, niewyczerpana w pomysłach dokuczania mu.

To niepostrzeżenie dolewała mu wśród lekcji świeżego atramentu do kałamarza, a on w przeświadczeniu, że jest w nim mało, zanurzał pióro tak głęboko, iż, zaabsorbowany swoim wykładem, walał sobie bez końca palce, książki i kajety; a czasem nie spostrzegłszy podłożonego, niewiedząco, kiedy ołówka — przewracał cały kałamarz na stół.

Następowało wielkie czyszczenie, wielkie przeprosiny, wielkie zamieszanie, gromione jedynie znaczącym spojrzeniem Ziuty w stronę niby Bogu duszę winnej panny Mani, której gromić tembardziej nie było za co, iż poza dziecinnymi figlami podlotka — okazywała się niezwykle pojętną i stokroć zdolniejszą od dystygowanej dorosłej siostry. Nieraz najłatwiejsze zadanie arytmetyczne, z figlarnym śmiechem wnet odrabiane przez pannę Manię, wydawało

się hieroglifem tej kształtnej zakutej główce szykownej dorosłej panny. A zapamiętanie najmniej skomplikowanej reguły lub daty sprowadzało jedynie pięknego smutnego marsa na jej wązkie czołko, tem cięższego, że tej mozolnej pracy jej mózgu towarzyszył wiecznie niewyrozumiały i niedelikatny dziecięcy śmiech panny Mani, nie pojmującej, jak można rzeczy tak prostych nie rozumieć lub nie pamiętać.

Czasami udawało się figlarce odkręcić nieznacznie knot źle oprawionej lampy. I ani spostrzegli, jak szkło pękło, a czarny kopeć pokrywał jego jasny wąsik, układał się na rysach przy nosie, czernił mu koszulę, mankiety... I biedak musiał wprost z lekcji biec do domu, aby się przebrać. Nie odezwał się jednak ani słówkiem. Gdybyż w ten sposób postępowała która z jego sąsiadek z korytarza na czwartaku! Miała by się z pyszna! A tu nie wiedział poprostu, w jaki sposób zwraca się uwagę królowi, kiedy postępują niewłaściwie. Lecz pewnego razu panna Mania nawet we własnym już pojęciu przeholowała wszelką miarę: Oto udało jej się wynaleźć w mieszkaniu źle sklezione krzesło, które wpadło jej na myśl podsunąć korepetytorowi... Pomysł nadspodziewanie się udał. Zaledwie Niutek na niem usiadł, sklezione nogi rozsunięły się, i pan korepetytor wraz z krzesłem runął, jak długi, na ziemię. Z młodzieńczą jednak elastycznością w jeden mig siedział już na innym stołku i bez idei marsa na czole, jakby nic, wziął książkę do ręki i rozpoczął lekcję.

A w serduszkach panny Mani, jak w pańswie duńskim, naraz coś się zepsuło... Być może, że już trochę wcześniej coś tam kielkowało... Lecz ta chwila stała się dopiero etapem świadomości.

Ta jedna, jedyna maleńka łezka wstydu z powodu żakostwa, czy też współczucia nad tym ładnym, cichym i Bogu duszę winnym biednym chłopcem; ta mała łezka, którą wylać panna Mania wstydziła się — zduszona w piersi, sprawiła cuda: Tak rosa wiosenna ożywia wśród jednej nocy cudownym tchnieniem śpiące w zamkniętych szczerlinie zielonych listeczkach blade-różowe pączuszki nierozkwitłej róży...

Panna Mania całą następną noc przeplakała. Trochę ze wstydu, trochę ze współczucia nad swoją ofiarą, trochę — sama nie wiedziała — z czego...

Następnej nocy stanęła w białiznie w otwartym oknie, aby zaziębic się i umrzeć.

Niestety, nie nabawiła się nawet kataru!

A Niutek był mniej Bogu duszę winnym, niż się wydawało. Godził się jeszcze stale na królewskość panny Ziuty; lecz „ta mała“ z powodu swego braku taktu i figielków — zaczę-

ła wydawać mu się coraz częściej z tej samej gliny, co jego sąsiadki z korytarza.

Przyszłszy raz do tego przekonania, stwierdzonego jeszcze zaobserwowaniem, że zarysowujący się z pod bluzki biust „tej małej“ przyjął już ponętne kształty dziewczęce, że zdrowe jej, drgające zmysłowo, wilgotne wargi poczynają bezwiednie łaknąć dotknięcia warg, że włos jej pachnie, a błyszczące oczy płoszą się za każdym spojrzeniem, powiedział sobie w duszy:

— E! Poczekaj! Zobaczymy, kto będzie się śmiałością! Z silniejszymi dawałem sobie radę!

Stawiał teraz swoje krzesło znacznie bliżej jej krzesła. Kiedy pisała, przechylał się nad nią, aby sprawdzać dyktando, tak blisko, że czuła się owianą zapachem zdrowego jego oddechu, który w połączeniu z tchnieniem, zadymionem od niemitych jej dawniej papierosów, ogarniał całe jej ciało, rodząc dziwne uczucia tklivości dla niego, połączonej z bardzo silną nienawiścią i niewytłomaczonym wstydem, nie mającym już nic wspólnego z dawną niechęcią i pogardą.

Przestała już figlować i chichotać bez powodu. Nie mogła dawać sobie, iż bezwstydnie godzi się mimowoli na te niemią jego śmiałość i na wspólną tajemną haniebną ugodę.

Posmutniała i pobladła.

W domu szeptało ze znaczącymi uśmiechami:

— Mania przestaje już być dzieckiem.

A on, zachęcony tym odgadniętym wspólnym dreszczem, łączącym w sobie cudownie naraz siłę lodu i ognia, przejmującego ich do szpiku kości, przytulał coraz silniej swoje kolana do dygocących z przerażenia jej nóg, i, aby pokierować jej ręką, niewprawnie kreślącą litery rosyjskiego alfabetu, zanurzał ją w swoją miękką, parzącą, jak ogień, dłoń i wprowadzał pod dyktandem idyotycznych słów *zbornika* w jakiś niebiański kraj, cały z ognia i płomienia.

Lecz wśród tej drogi, z premedytacją przez niego obranej, i on, bardziej od niej doświadczony podróżnik, racił — oczadzony — odpowiedzialność za swoje złe czyny.

I, godząc się na tę wędrówkę z cynizmem starego uwodziciela, przewyższał go śmiałością, jaką daje jedynie młodzieńcze niezdawanie sobie sprawy ze swoich postępów i zupełne nieprzewidywanie następstw.

DCN.



GROMADA.

Powieść ziemiańska.

26

XIV.

Nazajutrz był już Józef Broniecki znowu po za Warszawą, w Lublinie, ale tym razem podał swój dokładny adres pani Obichowskiej i prosił, aby w razie najłżejszej komplikacji w sprawach rodzinnych zawiadomiła go przez depeszę. I nie pojechał na bylejaką lekkomyślną wyprawę, działał, owszem, pod wpływem serdecznego wzruszenia, które wywoływało w nim sprawną i przemyślną energię. Dowiedział się, że Stefan Czernski pochodzi z Lublina, gdzie mieszka też jego ojciec, doktor medycyny, i podążył od razu do ośrodka powiadomień o człowieku, który już pewną rolę odegrał w życiu Manieczki.

Stał po południu w hotelu Wiktorya, który pamiętał z wystaw rolniczych i innych odwiedzin bogatej małopolskiej dzielnicy. Broniecki znał zresztą cały kraj i wszędzie w nim był u siebie; miał i tutaj szeregi przyjaciół na wszystkich piętrach społecznych, od braci szlachty aż do służby hotelowej. Dowiedział się łatwo, gdzie mieszka doktor Tomasz Czernski i, ogarnawszy się trochę po podróży, poszedł do doktora.

Dzień grudniowy był pogodny, połyskiwał prawie wiosennie na pstrokatych murach, na wielce nierównych dachach, krenelach i wieżach wzgórzy miasta. Na bruku i chodnikach głównej ulicy, Krakowskiego Przedmieścia, leżało lepkie, czekoladowe błoto, naniesione setnami kołami wozów i bryczek, przybywających z żyznych okolic podmiejskich. I przed oczyma Bronieckiego harcowały dwukonne, puste dorożki, wiejskim zacięciem nieco odmienne od warszawskich; wlokły się chłopskie wozy, nalożone worami zboża, paradowały dworskie karykły przeróżnych kształtów. W jednym powozie, syjącym wyciągniętego kłusa czterech koni, poznał pan Józef dobrego kompana.

— O, psia! ten szelma Wicek! Jeżeli mnie zobaczy, będzie znowu około szkła robota — —

Ale pan Józef szedł piechotą, głowę trochę odwrócił ku skle-

pom, a pan Wincenty, stojąc w powozie, był pilnie zapatrzony na kłusa czwórki, którą może właśnie chciał kupić lub sprzedać.

— Lewy w dyszlu dryga, jak na kijach — musiał być ochwacony — wyrwała się Bronieckiemu uwaga zawodowca, automatycznie.

Sklepy ogłaszały swą zawartość nie tylko za pomocą szyldów, lecz i zapachów: cukiernia buchała „litewskim“ masłem, skład apteczny — dajweldrekiem, tylko księgarnia wystawiała mozaikę druków, mniej więcej bezwonnych. Panowała zaś w powietrzu przeważnie woń Żyda. Ale Broniecki, przywykły do miast krajowych, puszczał mimo nosa ten koncert zapachów. Doszedłszy do magistratu, zawrócił na prawo, w ulicę, gdzie wkrótce znalazł liczbę domu wskazaną. Z chodnika zszedł po schodach niżej, dostał się na małe płaskowzgórze, obudowane z włoska po staropolsku, potem schodami pod górę trafił do mieszkania lekarza, na wysokim piętrze.

Trzy osoby siedziały w poczekalni przed zamkniętymi drzwiami gabinetu. Pan Józef podał słuzącemu bilet wizytowy, uprzejmiony srebrną monetą, i kazał się zameldować. Służący poszedł naokoło do gabinetu i wrócił niebawem, oświadczając głosem, zmierzchnym przez postać i hojność Bronieckiego, że doktor prosi o poczekanie kolei. Ruszył wąsem niecierpliwym dziedzic, ale uznał porządek demokratyczny i usiadł na krześle pod oknem, skąd widok miał pocieszający.

Starożytna strażnica bramy Krakowskiej zagrażała dolną część miasta swym kadłubem forticznym, przebitym niską, głęboką paszczą, w której przepadali ludzie i wozy. Wielkie żółte gmachy katedry i przyległej kapituły stały na prawo, niżej pałac biskupi, jeszcze niżej staczało się drobniejsze miasto ku Bystrzycy. Poznał Broniecki z wysokiego swego piętra krenelową koronę zamku Leszka Czarnego, dzisiaj turmy, dachy dawnego, prześwietnego Trybunału, zapleśniałe mury Dominikanów, pamiętające Kazimierza Wielkiego, święty przybytek Unii lubelskiej. — Czując się

wśród tych wielkich pamiątek uczestnikiem dawnej świetności i chwały, choć blade ozłoczone zimowem słońcem, Broniecki rozmarzył się i udobruchał zupełnie. Tymczasem poproszono go do gabinetu doktora.

Dr. Tomasz Czernski był wysokim mężczyzną o bujnych włosach siwych, o pięknych, zmęczonych oczach i postaci ujmującej przez swą poważną swobodę. Pan Józef zaraz wyciągnął do niego rękę:

— Jestem Broniecki, ze Sławoszewa, sąsiad syna pańskiego Stefana. Nie przychodzę po konsylium pana doktora, bo jeszcze, chwała Bogu, jestem z lekarzami tylko w przyjaźni, ale nie w zależności pacjenta. Przychodzę pomówić o panu Stefanie, który, jak zapewne panu wiadomo...?

— Ach! — klapnął się doktor w czoło, jak gdyby teraz dopiero zbudził się do rzeczywistości — pan Broniecki ze Sławoszewa! Tyle przecie o panu słyszałem! — proszę mi darować zwłokę w przyjęciu pana, ale my, słudzy publiczności, musimy się trzymać przyjętej zasady.

— Uznaję, uznaję. — — A o synu pan wie?

— Wiem, szanowny panie. Dostał się do kozy. Niech posiedzi — może go to oduczy od papierowej roboty.

Broniecki trochę się zadziwił, jednak przyjemnie. Doktor mógł być obojętnym ojcem, ale oczywiście, że jest miłym człowiekiem, pełnym szlacheckiej fantazyi. Musi nawet być szlachcicem? — lada tyk takby nie wyglądał — —

— Pogląd doktora trafia mi do przekonania. Gadałem mu to nieraz! Tymczasem jednak wartoby chłopaczka wyłubować z ciupy.

— Udałem się już do znajomych ze świata urzędowego — odrzekł doktor frasobliwiej — mówiono mi, że sprawa małej wagi, bo cóż? tylko nielegalne zebranie. Ale kto ich tam zgadnie? — —

— Ja także znam kilka wpływowych mundurów i pozostaję do swiat w Warszawie. Mogę za tą sprawą podeptać — —

Doktor podziękował wymownym spojrzeniem.

— I przyjechałem właśnie dlatego prosto do pana, aby zebrać wiadomości o młodym „zbrodniarzu“. Znamy się od niedawna, a przemawiając za kimś, trzeba znać jego *curriculum vitae*, aby się w zabiegach nie zasypiać.

— Proszę szanownego pana— Stefan ma lat 25; chodził do tu-
tejszego gimnazjum; skończył je,
na szczęście, przed wybuchem
strajku szkolnego, ale już do uni-
wersytetu w Warszawie nie po-
szedł, jak mieliśmy dawniej pro-
jekt. Jako jedynaka, uwolniono go
od wojska. Siedział przez pewien
czas w Warszawie, gdzie różne
pozabierał znajomości — — Na-
mawiałem go na uniwersytet kra-
kowski, ale uparł się i pojechał na
studia do Niemiec. Gdy je ukoń-
czył, kupiłem dla niego za posag
jego matki, już nieżyjącej, ten fol-
warczek Niespuchę w pańskim są-
siedztwie, mówił bowiem, że czuje
się powołanym do życia z ludem
wiejskim i dla ludu. — Oto szkie-
let jego życiorysu. Co zaś do jego
przekonań i działań politycznych,
o które zapewne chodzi w obecnej
chwili — nie mogę pana dokładnie
objaśnić. Już w gimnazjum nale-
żał do związków raczej postępo-
wych — — potem — czy się zapisał
do związków takich lub owa-
kich? — nie wiem, coraz mniej-
szem bowiem zaszczyca mnie zau-
faniem, jako człowieka „zacofane-
go“... mnie, który przecie... Ale
nie zaczę mówić o sobie.

— Taki już los nasz, ojców —
westchnął Broniecki. — Gwizdać
na nas wolno — i korzystać z na-
szej roboty. Gadałem trochę i z
panem Stefanem. Sprawił mi wra-
żenie, że byłby setnym pracowni-
kiem, gdyby go nie opętały cudze
formulki.

— To właśnie mówię — ucie-
szył się doktor — dodam tylko,
że Stefan nigdy nie był kosmopo-
litą, międzynarodowcem, niczem
podobnem.

— Niby polak ordynaryjny,
jak my, panie doktorze?

— Z instynktu najzupełniej,
szanowny panie. A tam z teorii!
Wypróbuje on ją na swojej skó-
rze.

— Byle nie na skórze ludu —
wtrącił Broniecki.

— Tak źle nie będzie — od-
powiedział ojciec Stefana, chcąc
kres położyć ujemnym przypusz-
czeniem o synu, — kto ma polskie
sumienie i głowę na karku, nie ze-
chce wykonywać takich ekspery-
mentów swej teorii. Stefan pra-
gnie dobrego postępu, w to wierzę.
A że tam czasem zabłąka się w
drodze do celu, to skutek krwi go-
rącej. My mamy krew żołnier-
ską, szanowny panie.

Doktor wskazał na ścianę,
gdzie wisiało sporo obrazków i
trochę broni. Pan Józef rzucił o-
czyrna we wskazanym kierunku,

a potem pytając na doktora. Ten
zaś mówił dalej:

— Ach, przepraszam! stare
nawyknięcie; każdy czemś się
chwali. Wiszą tam patenty żoł-
nierskie mojego dziada, jego broń
— — drobiazgi pospolite, ale dla
mnie pamiątkowe.

— Owszem, to ciekawe dla
każdego polaka — rzekł Broniecki,
powstając i idąc ku ścianie.

Więc powstał Czernski i po-
kazywał z upodobaniem. Wisia-
ła tam za szkłem nominacja
„urodzonego“ Stefana Czernskie-
go na porucznika w wojsku
księstwa Warszawskiego, podpi-
sana: „Wódz naczelny, Józef ksią-
żę Poniatowski“ — obok patent
dla tegoż Czernskiego na krzyż
wojskowy polski. Wisiała szabla,
szpada, ładownica z orłem — dużo
rycin, przedstawiających portrety
wojskowych i bitwy.

— To wszystko po dziadku
pana doktora?

— Przeważnie po nim. Po
ojcu mam tylko drobne pamiątki.
Zginął, jako żołnierz, w polu; mia-
łem już kilka lat wówczas i pamię-
tam go, jak przez sen — —

Bronieckiemu zagrzało się w
sercu, a od serca fala przypłynę-
ła do ust wymową:

— Mój dziad służył także w
ułanach, doktorze. To jesteśmy
niby krewni — po mieczu. No, dai
buzi, panie Tomaszu!

Omiotli się podwójnym poca-
łunkiem, poczem Broniecki rozglą-
dał się dalej po pokoju.

— Książek masz pan zatrze-
sienie!

— O! nawet niezły dobór i nie-
tylko moich podręcznych, lekar-
skich. Tu są militaria polskie —
— tu zbiór, który nazywam łań-
cuchem myśli polskiej, według mo-
jego wyboru: statystyki, reformato-
rowie, uczeni, poeci — — kosztowa-
ło dużo czasu i sporo nawet

pieniędzy. Jest tu, na przykład, kil-
ka bardzo rzadkich druków ary-
ańskich, jeden nieznaną biblio-
grafom — —

Dobył z szafy drobną, wysza-
rzaną książeczkę i podał Broniec-
kiemu, który ją ujął bez należy-
tego uszanowania, jednak cieka-
wie.

— Nie znam się na tem, ale
rozumiem zamiłowanie.

— A Stefan, na przykład — po-
skarżył się znowu doktor — wca-
le tego nie ceni. To też bibliotecz-
ka pójdzie po mojej śmierci do
zbiorów publicznych, gdzie się ko-
muś przyda napewno do studyów,
bo nie jest to kupa książek, ale
szereg, związany przez treść i
wiekową ewolucję.

— A reszta, naturalnie, dla je-
dynaka? — zapytał niby niedba-
le Broniecki.

— Naturalnie. Dla kogożbym
oszczędzał?

W mieszkaniu widać było, o-
prócz tradycji żołnierskich i zna-
mion aktualnej pracy — dobro-
byt; pokoje i meble miały styl nie-
powszedni, staroświecki, lecz ży-
wy, odświeżony dla potrzeb no-
wożytnych. Z przyjemnością do-
wiedział się też Broniecki, że do-
ktor mieszka we własnym domu,
zajmuje zaś w nim wysokie piętro
dla pięknego stąd widoku.

— Morowy chłop! — pomy-
ślał pan Józef — warto z nim wy-
pić „jedną“ — —

Odezwał się głośno:

— Gdzie się teraz u was jada,
w Wiktoryi, w Polskim, czy gdzie-
indziej? Pójdziemy może razem,
panie Tomaszu?

— Nie chodzę prawie nigdy do
restauracji — jadam w domu. Ale!
niechże mi pan uczyni przyjem-
ność pozostania u mnie na obie-
dzie! — Dobrze? — Zaraz — do-
wiem się, co tam będzie na obiad.
DCN.

E. M. Dell.

SZLAKIEM ORŁA.

Przekład z an-
gelskiego H. J. P.

12

XV.

Nick prędko uporał się ze
swoją korespondencją, a mając
jeszcze sporo czasu przed sobą
do obiadu, pomyślał, że jednak
może i nie zaszkodziłoby wpaść
do Musgrave'ów. Will i on byli
kolegami ze szkolnej ławy i łą-
czyła ich serdeczna przyjaźń.
Przytem Nick zauważył, że Daisy
zmizerniała w ostatnich dniach,
i pilno mu było usłyszeć, co po-
wiedział doktor.

Już miał wychodzić, gdy przy-
niesiono mu list od Willa.

„Kochany Nicku. Radbym
ujrzyć cię jaknajprędzej i powin-
szować, żeś się tak gracko od
śmierci wywinął. Przyjdź do nas
na obiad. Zrób nam tę łaskę, o
którą oboje cię prosimy, bo nam
oboju jesteś potrzebnym, żeby
rozproszyć nasze ciężkie myśli.
Doktor kazał Daisy i malcowi wra-
cać do Anglii. Możesz sobie wyo-
brazzić, jak nam to na rękę. Bo-

daj to wszyscy dyabli porwali taką robotę!

Zawsze twój
Will'.

Nick odpisał natychmiast, że przyjdzie. Wyrok doktora nie był dla niego niespodzianką; bo sam widział, że zdrowie Daisy nie ma się wcale ku lepszemu. Ale rozumiał, jak ich to musi martwić, bo o tem, żeby Will mógł jechać z żoną do Anglii, nie było co i marzyć. I wnet przyszła mu egoistyczna refleksja. Jakby to było, gdyby tak jemu przyszło się rozstać z Muriel w ten sposób? Raz ją posiadłszy, czy potrafiłby wyżyć bez niej czas dłuższy? Czy nie wyrzekłby się raczej swej wojskowej kariery, choć była mu tak drogą. Ale Muriel! Ta Muriel, z takim trudem zdobyta. Ta Muriel, dla której tyle przeniósł, tyle dokonał, tyle wycierpiał, dla której omal nie umarł. Nie!... teraz już by się nie potrafił z nią rozstać!

Spojrzał na ścienny kalendarz, wiszący nad biurkiem, i zdał jedną kartkę. Już tylko pozostawało sześć do dnia jego ślubu. Policzyl je w myśli z uniesieniem... Nareszcie!... Ta ukochana nad wszystko dziewczyna będzie jego — jego — jego! Żadna siła ludzka nie wydrze mu jej, żadna przeszkoda nie stanie pomiędzy nim a nią. Ach! a gdyby stanęła; nie było takiej, której by nie obalił i nie podeptał. Ale już żadnej niema. Zwyciężył wszystkie; zdobył ją kosztem wszelkich ofiar, i nagroda jego wytrwałości była już bardzo bliska.

— Nareszcie! — powtarzał sobie w upojeniu radosnem. — Nareszcie! Nareszcie!

Przebrał się i już miał wychodzić, gdy służący lady Bassett przyniósł mu list. Nick domyślił się, że list pochodził od Muriel, i krew uderzyła mu do głowy. Nigdy dotąd nie pisała do niego.

„Muszę zobaczyć się z Tobą natychmiast. M.“

To było wszystko. Nick odprawił służącego i napisał do Willa, donosząc, że spóźni się na obiad. Poczem wyprostował się, jak człowiek, zbierający wszystkie swoje siły.

Coś się stało. To wezwanie odbiło się w jego duszy, niby żałosny krzyk o pomoc. Czuł, że Muriel zażąda od niego czegoś, i po raz pierwszy w życiu nie był pewnym, czy on temu czemuś podoła. A przecież, nie zbywało mu na odwadze. Umiał bez drżenia

patrzeć śmierci prosto w oczy. Więc czemuż?

Minał czas jakiś, nim poruszył się z miejsca. Spostrzegł wtedy, iż trzyma w zaciśniętej dłoni jej liścik. Szybkim, namiętnym ruchem poniosł go do ust. I przypomniało mu się, jak raz trzymał jej rękę w swojej i chuchał na jej zeszytniałe paluszki, by je rozgrzać. Wówczas umiał panować nad sobą. Miałaby teraz zburzyć od jednego zamachu ten gmach jej wiary w niego, który z takim trudem zbudował? Ale, w gruncie rzeczy, czego się obawiał? Czemu się dręczył napróżno? Muriel zapewne przysłała po niego, by mu osobiście powiedzieć, że nie będzie mogła pojechać z nim jutro na spacer lub coś w tym rodzaju. Więc, najlepiej, pójdzie do niej, nie zwlekając, i dowie się, o co chodzi. Wszak wzywała go po raz pierwszy. Niechże jej nie da czekać.

XVI.

Gdy Nick wszedł do saloniku, zastał go pustym. Okna były poroztwierane naoscież, gdzieś z oddali dochodziły słabe dźwięki walca. Domyślił się, że lady Bassett niema w domu, i stanął w oknie, wdychając aromatyczne, wieczorne powietrze w uciśnioną pierś.

Gwiazdy już świeciły na niebie; nieopisana błogość panowała w naturze. Z bijącym sercem pomyślał Nick o tych, mających nadzieję nocach, kiedy znajdą się znowu we dwoje w górach, już nie zgłodniiali i drżący o życie, ale upojeni szczęściem, błędzacy spodem po zaczarowanej krainie teraźniejszości, w której zła przeszłość byłaby zapomniana, a przyszłość płonęłaby złością, niby rajskie szczyty.

Dały się słyszeć lekkie kroki, i Nick odwrócił się szybko. Muriel weszła do pokoju, zamykając drzwi za sobą. W pierwszej chwili wyobraził sobie, że musi być ciężko chora, tak straszliwie bladą wydała mu się w swej żałobnej sukni. Ale gdy podeszła bliżej, uspokoił się. Było już późno. Musiała więc być zmęczoną.

Poskoczył ku niej i chwycił ją za rękę; ale ręce te nie odpowiadały mu uściskiem. Spoczęły sztywnie w jego dłoniach; na ustach nie zaigrał powitalny uśmiech. Oczy patrzyły, jak przez mgłę, z jakimś nieokreślonym, tępyim wyrazem.

Nagle podejrzenie przemknęło mu przez głowę. Pociągnął ją szybko do światła, wpatrując się w nią badawczo.

— Coś ty zrobiła? — zapytał.

Odgadła, co miał na myśli, i uśmiechnęła się blado.

— Nie, nie, — odrzekła. — Nie dotknęłam opium, od tego wieczora, kiedyś ty...

Przerwał jej żywo, jakgdyby go to wspomnienie zabolalo:

— Przepraszam cię. Więc co takiego zatem? Bo coś się stało.

Nie zaprzeczyła. Wysunęła rękę z jego dłoni i usiadła.

Nick zachował postawę stojącą, patrząc na nią i czekając pośpiechnie na wyjaśnienie.

Ale Muriel nie spieszyła się z niem. Minęło kilka minut, zanim się odezwała, a i wtedy słowa jej brzmiały sztucznie i oderwanie:

— Przypuszczam, iż nie popsułam ci żadnych projektów, prosząc cię, abyś przyszedł dzisiaj. Byłoby mi to bardzo przykro.

Przypomniał sobie, jak nagle co go wezwwała, i domyślił się, że mówiła tak, aby zyskać na czasie. W innej chwili byłby się może zastosował do tej dziecinady, ale dziś podziało mu to na nerwy nie do zniesienia. Pohamował się jednak, choć czuć to było w jego głosie, jakim jej odpowiedział:

— Nie mam takich projektów, których bym nie podporządkował twojemu wezwaniu. Co masz mi do powiedzenia?

Wyraz obawy przemknął po twarzy Muriel. Rzuciła mu szybkie, wpół pytające, wpół wystraszone spojrzenie. Ręce jej splotły się bezwiednie.

— Nie gniewaj się, Nicku, — rzekła cichym głosem.

Poruszył się szybko.

— Moja droga, nie bądź dziecinna. O co chodzi? Powiedz mi i skończmy z tem.

Głos jego brzmiał uspokajająco. Spojrzała na niego śmiejąc.

— Tak, jestem dziecinna, — potwierdziła. — Jestem poprostu idyotyczną, wyobrażając sobie, że to może mieć dla ciebie jakieś znaczenie. Nicku; rozważyłam wszystko skrupulatnie i... i... doszłam do przekonania, że nie mogę zostać twoją żoną. Sądję, że nie zmartwisz się tem, choć — tu zaśmiała się nieszczerze — wiem, że będziesz poczuwał się do obowiązku powiedzieć mi to. Ale... nie trudź się, bo... bo ja wszystko rozumiem. Pomyślałam więc, że będzie najlepiej, gdy ci to odrazu powiem.

— Dziękuję ci — odrzekł Nick, i było w jego głosie coś, co zadźwięczało, jak nagle zatrzaśnięcie się napiętej mocno sprężyny.

Muriel spostrzegła, iż ścisnął obie pięście, i ogarnęło ją przeczucie niebezpieczeństwa. Zerwała się na równe nogi. Gdyby tygrys wskoczył był przez okno, nie był by jej więcej przestraszył.

Nick postąpił ku niej krok jeden, a ona stanęła w miejscu, jak wryta. Twarz jego miała ten sam wyraz, jak wtedy, gdy mordował indyanina; była to twarz bezlitosna, drgająca dziką namiętnością, twarz szatana.

Ostatnim wysiłkiem woli uskokczyła w bok, dygocąc na całym ciecie.

— Nicku, — wyszeptała — czyś oszalał!

Odpowiedział jej zdławionym głosem, podobnym do parsknięcia dzikiej bestyi.

— Tak, oszalałem. Nie próbuj uciekać odemnie w tej chwili, bo nie odpowiadam za siebie.

Popatrzyła na niego roszszeronemi oczyma.

— Ależ... ależ — wyjąkała, — ja... ja nie rozumiem. O, Nicku! ja się ciebie boję!

Był to okrzyk biednego, bezradnego, opuszczonego dziecka. Gdyby była spróbowała stawić mu czoło, uciekać, szatan byłby się w nim rozpętał i w jednej chwili obalił ten wał rycerskiej cierpliwości, jakim w ciągu ostatnich kilku tygodni Nick otoczył był swą nieokleślaną naturę.

Ale ten żalosny okrzyk przeniknął wprost do jego serca i zranił je głębiej, niż wszelkie wyrzuty i zaprzeczenia.

Ze stłumionym jękiem odwrócił się od niej i zakrył twarz rękoma.

Chwilę stał tak bez ruchu, jak skamieniały, a Muriel, oparta o gzyms kominka, patrzyła na niego z bijącym gwałtownie sercem.

Nagle Nick zbliżył się szybko, cichym krokiem do otwartego okna. Z dali, poprzez woniejący ogród, dochodziły dźwięki „Błękitnego Dunaju“, rozmarzone, tęskne, nęcące, tego walca, pod takt którego od tyłu lat niezliczone pary kochanków kołysały się w miłosnym upojeniu. Muriel byłaby chciała zamknąć okno, zatkać uszy, uczynić coś, byle te dźwięki zagłuszyć... Ich natrętna słodycz doprowadzała ją w tej chwili do szaleństwa.

Zapewne i Nick doznawał tego samego wrażenia; w każdym razie jednak, nie uzewnętrzniał go. Stał z twarzą, zwróconą ku ogrodu, trzymając się ramy okiennej obu rękoma, których chudość ry-

sowała się w ostrych, jak u szkieletu, liniach.

Muriel przypatrywała mu się, jak urzeczona. On stał bez ruchu, zdając się zapominać zupełnie o jej obecności. A czarowne dźwięki walca płynęły i płynęły wciąż z drażniącą monotonią.

Nagle stuk zamykanego okna wstrząsnął nią od stóp do głów. Nick poruszył się wreszcie, a jej serce poczęło walić, jak młotem, gdy się odwracał. Chciała dostrzedz wyraz jego twarzy, ale nie mogła. Mgła przesłaniała jej oczy; kolana się pod nią uginały.

Czuła każdym nerwem, że on zbliża się do niej, i w bezradnym przerażeniu czekała, a wspomnienie tej straszliwej nocy, kiedy zmusił ją do połknięcia narkotyku, wróciło jej stokroć silniejsze. Ujrzała go, jakim był wtedy: milczący, straszny, nadludzko mocny, potężny. I w przystępie rozpaczliwej trwogi cofnęła się, szukając bezładnie, obłędnie jakiejś drogi wymknięcia się temu okropnemu człowiekowi.

Ale w tejże chwili uczuła jego ramię, opasujące ją łagodnie; głos, który kołł jej gorączkowe majaczenia, szepnął tuż nad nią:

— Już wszystko dobrze, kochanie. Nie bój się!

Poprowadził ją ku sofie, posadził, pochylając się nad nią i gładząc zlekka jej zlodowaciały policzek.

— Powiedz mi, gdy ci będzie lepiej — rzekł — i pogadamy spokojnie. Tylko się nie bój niczego. Już wszystko dobrze.

DCN.



Wiadomości literackie.

Polonica.

W Zagrzebiu, w teatrze królewskim, wystawiono w d. 1 marca *Fryderyka Wielkiego* Adolfa Nowaczyńskiego w przekładzie Juliusza Benasića. Sztuka wywarła wielkie wrażenie i była oklaskiwaną bardzo gorąco po każdym akcie. Krytyka miejscowa wyraża się również z całym uznaniem o dziele polskiego dramatopisarza.

× Dwutygodnik niemiecki *Das literarische Echo* zamieścił w ostatnim marcowym zeszycie „List polski“ („*Polnischer Brief*“) pióra p. Józefa Flacha. Autor pisze treściwie o utworach ostatniej doby naszych powieściopisarzy i dramaturgów, a więc o „Mocnym człowieku“ Przybyszewskiego, o siódmym tomie „Poezyi“ Tetmajera, o „Urodzie życia“ i „Wiernej rzecze“ Żeromskiego. Przechodząc do teatru, zaznacza zmiany, jakie zaszły w teatrze krakowskim, wspomina o otwarciu teatru Polskiego w Warszawie, wymienia, jako nowości dramatyczne, „Zygmunta Augusta“ Lucyana

Rydlą, „Wawrzyn“ Leopolda Staffa, „Jeńca Napoleona“ St. Kozłowskiego, „Nowe Ateny“ Nowaczyńskiego, „Judasza z Kariotu“ Rostworowskiego.

Z literatury francuskiej.

× *Maurycy Lair*. „*La reprise*“ („*Odzyskanie*“.) Stosunki francusko-niemieckie posłużyły autorowi za temat do niniejszej bardzo zajmującej książki. Bohater, młody Francuz, jest synem żyjącego w Kolonii na wygnaniu komunarda, który poróżnił się ze swoją bogatą rodziną bankierską, z powodu uczestniczenia w komunie, i utrzymuje się z pracy zecerskiej, nie zatracając socjalistyczno-humanitarnych ideałów. Syn wzrasta w Niemczech, uczęszcza do szkoły niemieckiej, politechniki w Monachium, zwraca na siebie uwagę wybitnymi pracami, tak, że, gdy skończył studia, profesorowie polecają go wielkiej fabryce chemicznej w Pofrzheim. Wasciciel, przemysłowiec, który doszedł do majątku własną pracą, panuje w fabryce autokratycznie; młody Francuz, jako syn rewolucjonisty, utrzymujący nadto stosunki z socyalistami, wydaje mu się podejrzany, niemniej jednak jest dla fabryki, po dokonaniu pewnego wynalazku, niezbędny. Córka fabrykanta, zaręczona z oficerem kawalerii, zakochawszy się we Francuzie, zrywa z narzeczonym, a ponieważ młody inżynier nie żywi ku niej niechęci, przeto ojciec pozwala na ten związek, który przykuje wynalazcę nazawsze do fabryki. Naraz zgon w rodzinie powołuje inżyniera do Francji i budzi się w nim silne poczucie narodowości. Wraca wprawdzie do Niemiec, ale, po strajku w fabryce, który wybuchł z powodu nienawiści do cudzoziemca, zrywa więzy; nie chce już małżeństwa z Niemką, która gotowa jest wywedrować z nim do Francji, powraca do ojczyzny i tu żeni się z kuzynką. Autor bardzo umiejętnie, bez uprzedzeń i nienawiści, wykazał niemożliwość zżycia się Francuzów z Niemcami, wynikającą z odmiennych zupełnie właściwości charakteru i ducha.

× *Jakób des Gachons*. „*La vallée bleue*“ („*Błękitna dolina*“.) Widownia powieści, o której mowa, jest wieś francuska w okolicach Berry. Rolnik namawia brata swojego, przeciążonego pracą budowniczego paryskiego, który zapadł na oczy, by powrócił do miejsca rodzinnego, gdzie ma odbudować zrujnowany zamek z epoki Odrodzenia. Budowniczy nie żałuje postanowienia — wieś odradza go fizycznie i duchowo. Syn jego jednak, przeżyty hulaka, i córka, przerafinowana Paryżanka, których stryj chce również poddać kuracji wiejskiej, odpłacają mu niewdzięcznością. Narzeczona najstarszego syna stryja traci serce dla lekkomyślnego Paryżanina, poślubia go i zostaje niebawem przezeń porzucona; siostra jego zaś napróżno usiłuje zniewolić do małżeństwa właściciela zamku, w którym ojciec pracuje. Uległa woli dzieci matka, wraca wraz z nimi do Paryża. Autor przeprowadził ideę swoją z umiarem, nie doprowadził jej do krańcowości, stąd też właśnie teza o uzdrawiającym wpływie atmosfery wiejskiej nie traci siły przekonującej. Dwaj bracia — rolnik i budowniczy — to postacie bardzo charakterystyczne, uderzające prawdą życiową.



otrzymane **Nowości** na sezon wiosenny i letni w wełnach, jedwabach i bawełnach na kostiumy i suknie, oraz towary białe pierwsz. fabryk krajowych i zagran., chustki, pończochy, rękawiczki i t. p.

FELIKSA SKRODZKIEGO i S^{ka} Warszawa, Bracka 16, Telefon 222-42.

NOWO OTWORZONY
MAGAZYN BIAŁY
I SKŁAD PŁÓTN

TREŚĆ № 12.

Młodość panny Mani. *Alfred Konar.*
Gromada. *Józef Weyssenhoff.*
Szlakiem orla. *E. M. Dell.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor: **STEFAN KRZYWOSZEWSKI.**
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ulica Bonerowska 12.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie

Z dziedziny kosmetyki.

Kijowiance. Bywa często taki odcień, który zależy od zbioru cebulek liliowych; użyć bez obawy.

Jadzi. Jeżeli wagi są w pierwszym okresie istnienia, jako ciemne punkciaki, *Pureol* je wymyje, jeżeli zaś już dojrzałe, żadne środki do smarowania nie pomogą, tylko jedyna masażystka pneumatyczna systemu *Heros*. Łupież wygubi i pobudzi włosy do porostu, zapobiegając wypadaniu, *Tetral Tissota*, którym skrapiać głowę przy codziennym rannym czesaniu.

Prenumeratore. Pryszczki trzeba masować aparatem *Heros* i pić *Ziola Paragwajskie* zamiast herbaty.

Antoninie. Włosów w zimie stano- wczo nie myć, lecz czyścić specjalnym pudrem *Florentine*, a przeciw wypadaniu gwałtownemu skrapiać przy codziennym czesaniu *Tetrale Tissota*. Ciemny pas z szyi usunie *Precioza*. Niżej podpisana odpowiada tylko za swoje skromne rady, pomieszczane w niniejszej rubryce, zaś za ogłoszenia różnych firm odpowiadać nie może.

Maryi. Włosy na rękach usunie pro- szek *Epil Max*.

Strapionej. Przy wypadaniu włosów, połączonym ze swędzeniem, należy użyć pomady żółtawej *Tortulea* i wcierać ją w skórę.

Sabinie. Ciemne włosy rozjaśni *Hella*, nie niszcząc włosów, a dając piękny naturalny odcień złoto-blond lub kasztanowaty. Czerwoność powiek, łza- wienie i uczucie, rano, jakby obecności piasku pod powiekami usunie płyn *Virginal*, przykładany na kawałkach waty na wierzch powiek przy układaniu się do snu.

Karolinie. Współczynnikami nieroz- łącznym z masażystką pneumatyczną jest *Abarid*, rodzaj galarety, wyciśnię- tej z cebulek białej lilii (*Lilium Candi- dum*). To nie kosmetyk, to wyciąg czy- sto roślinny, odżywczy, zasilający skórę; czyni skórę gładką, bez przerwule- nia, a więc odporną na wszelkie zmiany atmosferyczne, czyni ją białą stale, a nie umalowaną. Gdy bezpośred- nio po masażu pneumatycznym namię- ską *Abaridem*, skóra nabiera ję- drności i traci skłonność do fałdowania się.

Do Wszystkich. Środki, tutaj oma- wiane mają na składzie firmy: „*Perfec- tion*”, Szpitalna, 10, i *Paszkowski*, Mar- szalkowska, 109, oraz *Nowosenałowska*, 2, w Łodzi *Spieß*, w Wilnie *Grużewski*, w Odesie *Anderski*, we Lwowie *Pa- włowski*, Akademicka, 21, w Krakowie *Miklaszewski*, pl. Dominikański, 1. Na kopertach należy dopisać: „*Dział Ko- smetyczny*”.

M-me Erceś.

Siwe włosy.

gina bezpowrotnie po jednorazowym użyciu „*Wody Pigmol*”. Woda ta nie farbuję lecz przy- wraca naturalny kolor włosów. Nie zawiera tuszu ani osadu. Nie brudzi skóry, proszę raz spróbować jeśli nie poskutkuje, przyjmujemy z powrotem: skład główny perfumeryjny J. Wró- blewskiej, dawniej Lipink. Wierzbowa róg Nie- sałej, tel. 75-56. Wysyła za zaliczeniem.

MOR TĘPI RADYKALNIE
szczury i myszy
wyłączna sprzedaż
ST. STANISZEWSKI
Warszawa, Krak.-Przedm. № 31.
Skład apteczny i perfumeryjny.

HEMORIN
MAGISTRA
(ŚWIECZKI) PRZECIW o
HEMOROIDOM.
KLAWE
Skład gł.
ro, P. Św.
Alksan.
Apeteka

INFORMACJE.

Pani Helenie J. W sprawie uczesań rautowych najlepiej zwrócić się do specy- alisty, który robi to według ostatniej mo- dy, z zastosowaniem do rysów twarzy. Radzimy udać się do *Wiktora*, *Erywań- ska 16*. Można telefonicznie.

Wskazówki.

Pani Zofii G. Uczesanie modne, bez odpo- wiednich dodatków, jest niemożliwe. Najlepiej udać się o nie do specjalisty — fryzjera, p. *Jó- sefa Bagnowskiego Wilcza 35, róg Marszałkowskiej*. dom W-go J. Fruzińskiego.

WYKWINTNA BIELIZNA DAMSKA
WYPRAWY CAŁKOWITE (specjalność)
Z. BIERNACKA
Warszawa, Marszałkowska 152 (róg Erywańskiej).
Telefonu 205-85.

Gabinet kosmetyczny
WANDY ZIELIŃSKIEJ
masaż leczniczy, kosmetyczny, elektryczny
depilacja, parowanie „manicure”
ŻÓRAWIA № 47 m. II
od 12-3 i od 4-7 pp.

E. KOWALSKA i S^{ka}
MONIUSZKI № 8, tel. 282-80
sklep od ul. Jasnej

KORONKI
WSTAŻKI
PASMANTERJE
Wielki wybór. = Ceny niskie.

DOM BANKOWY
Z. Szempliński i S^{ka} Nowy-Świat 40,
tel. 98-60.
Kupno i sprzedaż papierów procentowych, przekazy na zagranicę. As-
kuracja. Lokaty. Konserwacje w Tow. Kredytowym.

Magazyn obuwia mechanicznego
MARSZAŁKOWSKA 154 POLECA Nowości sezonowe!!!
MARKI: „SŁON”

Biedna wdowa

po obywatelu ziemskim bez żadnych
środków do życia, zwraca się z go-
rącą prośbą o pomoc. Ofiary pod
literami K. M. przyjmuje Admini-
stracja naszego pisma.

Wydawnictwa Tow. Akc. Wydawnicze „Świat”
WINC. KOSIAKIEWICZ
**Powrót
z za świata**
Cena rb. 1.—
BOLESŁAW GORCZYŃSKI
**Na tropie
trucizny**
ROMANS.
Cena rb. 1.80.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

W. JANKOWSKI i S^{ka}
Marszałkowska № 130. Tel. 148-72
POLECAJĄ:
metale rozciągane i pręty stalowe do wszel-
kich robót budowlanych, oraz posadki dę-
bowe z klepek i taflí krajowego wyrobu
w gatunku wyborowym. Towar zawsze na składzie.
Ceny najniższe. Cenniki i katalogi na żądanie.

Towarzystwo Akcyjne Przemysłowo-Handlowe
„L. J. BORKOWSKI“ == ZARZĄD ==
Warszawa, Mazowiecka № 11.
Dąbrowa Górnicza, Łódź, Lublin, Częstochowa, Radom, Moskwa, Dźwińsk.

Poleca z własnych składów i z fabryk: żelazo handlowe, blachy żelazne, cynkowe, cynkowane, miedziane; belki żelazne, cement, węgiel i koks rury żelazne, szyny, śruby, mutry, nity, łopaty stalowe, grabie, lemiesze i odkładnice, stal narzędziowa i zwykła, odlewy surowcowe, sprężyny do maszyn rolniczych (do grabi, kultywatorów i t. p.) beczki żelazne do nafty i spirytusu, kosy styryjskie i krajowe kosi do sieczkarni, osie, buksy, łańcuchy, gwoździe, drut, pasy do maszyn skórzane i z sierści wielbłądziej, kowadła i młota, wiertarki, tokarnie, pilniki, podkowy, hufnale, pakunki wszelkiego rodzaju i t. p.
CENY HURTOWE. — CENNIKI NA ŻĄDANIE GRATIS.

Z dniem 1-ym Marca r. b. przy ulicy Mazowieckiej № 11, otwarty zostanie sklep detaliczny z artykułami technicznymi po cenach hurtowych.

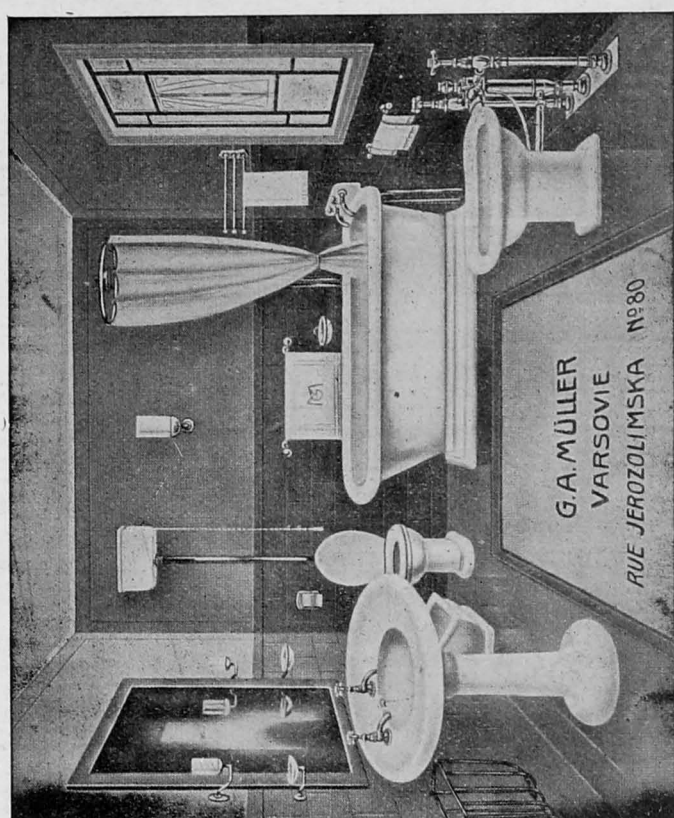
AMERYKAŃSKIE
Towarzystwo Fibry Wulkanizowanej
 IMPORT FABRYKA
 Ameryk. fibry wulkanizowanej | artykułów technicznych
 najlepszego gatunku. Z FIBRY.
 Wszelkie wyroby z Fibry dla celów technicznych.
 KONTO BANKOWE: BANK HANDLOWY, w WARSZAWIE.
Adres telegraficzny: „Fiber“.
 Warszawa, Ogrodowa № 10. Telefon № 287-56.

Simon i Stecki
 DOSTAWCY DWOFU
 JEGO CESARSKIEJ MOŚCI.
Skład Win
 EGZ. OD 1825 ROKU
 Krak.-Przedm. № 38. Tel. 418
 WINA, LIKIERY,
 RUMY, KONIAKI.
 Reprezentacja:
 Koniaków BISQUIT
 Likierów F. CAZANOVE.

KRYM — JAŁTA
Pensjonat „Stella”
 obecnie (odnowiony)
HELENY LISOWSKIEJ
 Botkińska № 22
 OTWARTY CAŁY ROK
 Pokoje słoneczne z widokiem na morze, balkony, elektryczność, telefon, łazienka, ogród i wszelkie wygody.
 Ceny przystępne.

Zakład Ginekolog.-Akuszerski
„HYGIENA”
 Akuszerki BORZOBHATEJ
 Marszałkowska 25. — Tel. 139-21.
 Urządzenia najhygieniczniejsze. Ceny przystępne. Opieka lekarzy specjalistów. Porady od 3—6.

Wytwórny Iluzjon
„MASCOTTE”
 Program pierwszorzędnego
 Muzyka koncertowa
BODUENA 4
 we Wtorki i Soboty **NOWOŚCI!!!**



G. A. MÜLLER WARSZAWA,
 Aleja Jerozolimska № 80
 Wielki wybór WANIEŃ, umywalek, zmywaków, angielskich i żelaznolanych emaliowanych PIECÓW kąpielowych, RUR i FASONÓW kanalizacyjnych i wodociągowych, oraz ARMATUR wszelkiego rodzaju.

„Hygiena Twarzy i Rąk” „SIMI” (PŁYN)
 WSZECHŚWIATOWEJ SŁAWY
 Udelikatnia skórę, leczy radykalnie i usuwa piegę, węgry, liszaje, krosty, oraz polysk twarzy. Nadaje twarzy piękność i urok młodości. Cena flakonu rub. 1.70. Dostać można w większych składach apt. i perfumeryach.
 Przedstawiciel **Józef Grossman,** Warszawa, Złota 16
 Telefon 184-44.

Wody Mineralne Sztuczne **„MOTOR”** == KĄPIELE ==
 Lecznice. z kwasem
D-ra Jaworskiego. WĘGLOWYM.

„VARSOVIE AUTOMOBILE”
 Warszawa, Marszałkowska № 154. Telefonu № 85-33.

Jeneralna Reprezentacja na Cesarstwo i Królestwo
„The Willys-Overland C-o Automobiles”
 Nieporównana wytrzymałość na boczne polskie drogi, szybkość i taniość

25 H. P od rb. 2,500	35 H. P od rb. 3,200
30 „ „ od „ 2,750	45 „ „ od „ 3,700

J. SEKOWSKI
 MAGAZYNÓW W ŚRÓDMIEŚCIU NIE POSIADAM.
 LAMPY, AMPLE, etc.
 Najtaniej, bo w fabryce!

Nowo otwarty Magazyn Broni
 POD FIRMĄ
R. Gliniecki i B. Wierzejski
 w Krakowie, ul. Szewska 2.
 poleca bogaty wybór broni wszelkich systemów, przy-
 borów myśliwskich, sportowych, oraz **własną pra-
 cownię i warsztaty reparacyjne.**

SKŁAD MATERIAŁÓW BŁAWATNYCH
Sabiny Gehrke Chmielna № 8
 poleca na sezon wiosenny i letni **NOWOŚCI** krajowe i zagran.
 WELNY czarne, kostyumowe, wizytowe,
 DRAPAES DAMES, SZEWIOTY kostyumowe i okryciowe
 MATERYSKI i WELWETY, KREPY żalobne
 BATYSTY, MUŚLINY, HAFTY szwajcarskie i krajowe
 PŁOTNA, PIKI, SOYÉ, SATYNY od 26 kop.
 KRETONY od 9 kop. TOWARY BIAŁE.
 Próby na żądanie bezpłatnie. ☎ Telefon 192-21.

LOKALE dla Banków, Kupców i Przemysłowców LOKALE
Nowo-Miodowa № 3 róg Senatorskiej i Junkierskiej, do wynajęcia od 1-go Lipca r. b. Lokal odpowiedni także na **kawiarnię, cukiernię** i t. p. — Na żądanie mogą być połączone 3 lokale piętrowe z dolnym sklepem, 4 wystawowymi oknami 9x9 i 4 okna 4x4 łokci, wielkość sal 520 łokci, mogą być rozdzielone według wymagań. Centralne ogrzewanie, 2 windy i wszelkie nowoczesne urządzenia.
 Wiadomość na miejscu od 10 — 12-ej, lub u właściciela Z. Alberga, Marszałkowska 53 od 3 — 5 godz. Telefon 30-27.

Od północy na południe.

„Niezmienne byłem zadowolona z Pańskiej pasty do zębów i nie chcę więcej innej używać.
 Podpis: Hrabina de Fronsac, zamek de Vildor (Pas-de-Calais*)
 „Dziękuję Sz. Panu bardzo za skrzynkę okazową, którą mi Pan łaskawie przesał. **Dentol** jest istotnie proszkiem do zębów najcudowniejszym, jaki znam dotychczas. Właśnie co dopiero skończyłam przesłaną mi próbkę, — i nie mogę się już dziś bez środka tego obyć. Podpis: Klaudja Grandcroix w Buriat (Hérault)“.
Dentol (woda, pasta i proszek) jest środkiem do zębów doskonałym antyseptycznym i zarazem posiadającym zapach niezmiennie przyjemny.
 Wykonany w myśl teorii Pasteura, niszczy on wszystkie szkodliwe mikroby jamy ustnej, przeszkadza psuciu się zębów i leczy je, usuwa zapalenie dziąseł i bóle gardła. W dni parę nadaje zębom białosć nieznównaną i niszczy kamień na nich się tworzący.
 Pozostawia w ustach wrażenie świeżości przyjemnej nader i trwałej. Działanie jego antyseptyczne przeciw mikrobom przedłuża się aż do 24 godzin.
 Uspokaja on najsilniejszy ból zębów, kiedy bez domieszki w stanie czystym przykładą się go na wacik.
Dentol znajduje się u pp. Fryzjerów-Perfumerów i we wszystkich znacznych domach perfumeryjnych. Flakon lub pudełko wystarczą na użytek sześć-miesięczny — co czyni, że posługiwanie się **Dentol'em** kosztuje istotnie niedrogo.
 Skład główny: 19, rue Jacob, Paris.
 W Warszawie: Towarz. Henryk Welt, Przejazd № 5. F. Karpiński, Elektoralna № 35. Władysław Hoffman i S-ka, Zielna № 46. Skomorowski Emil, ulica Leszno № 3.

DRASTIN DOSKONAŁE SKUTKI LUBELSKI
 osiągnąć można stosując czekoladki przeczyszczające „**DRASTIN-LUBELSKI**”
 Wyrabiane z najlepszej czekolady szwajcarskiej w postaci tabliczek. Chętnie są przyjmowane przez dorosłych i dzieci. Przychylne odezwy powag lekarskich.
 Pudełko 50 kop.
 Żądać w aptekach i składach aptecznych.
 Uwaga. Środek ten spożywa się, jak każda inną smaczną czekoladę.
DRASTIN - LUBELSKI

Sparaliżowana na obie ręce wdowa po artyście malarzu błaga o jakakolwiek pomoc. Łaskawe datki dla M. Jabłońskiej przyjmuje Redakcja.

PARFUM
CHEVALIER D'ORSAY
 17, RUE DE LA PAIX, PARIS

Z. Dobrzańska i S-ka Warszawa, Jasna 10.
 Telefon 178-75.
 polecają **wykwintne papiery listowe** w wielkim wyborze.

AKUSZERYJNY ZAKŁAD
 akuszerki **M. RING**
 I-go rzędu
 urządzony podług tegoczesnych wymagań. Przyjmuje na czas dłuższy. Porady. Dyskretya. Krucza 37-8.

7409— **ZAKŁAD**
Lecznicy dla przychodzących
 z chorobami żołądka i kiszek
Dra Tadeusza Wilczyńskiego
 Al. Jerozolimska № 35. Tel 282-25.
 przyjęcia od 9—10 r., od 1—3 i 6—7 p.p.

Nauczycielka
 z rządowym patentem domowej nauczycielki języka niemieckiego, poszukuje posady od roku szkolnego. Oferty: Księgarnia Regulskiej w Sosnowcu.

Nieszczęśliwa staruszka A. S.
 z wnuczką chorą na konwulsie prosi o ofiarę na wykupienie zastawionej maszyny, która była dla niej jedynym źródłem zarobku.


Kühle, Miksche i Türk
 Właściciel **B. ZURKOWSKI**
 WARSZAWA, AL. JEROZOLIMSKIE 43.
 TEL. 31.27.
 APARATY FOTOGRAFICZNE dla p.p. Amatorów i Zawodowców oraz wszelkie przybory do tychże.
 LATARNIE CZARNOKSIĘZKIE dziecięce i szkolne.
 KINEMATOGRAFY dziecięce i teatralne, LORNETKI teatralne i przyradowe. Towar gwarantowany. Ceny najniższe — fabryczne.

A. TAHN & CO
 POLECAJA
 TEKSTURĘ SMOŁOWCOWĄ
 LAKI - SMOŁE
 WARSZAWA LESZNO 86
 KORKOWĄ IZOLACJĘ L.T.P.
